FUSS MAGAZYN

NUMER 14 (5) PAŹDZIERNIK 2015
ISSN 2300 - 3758
WWW.FUSS.COM.PL

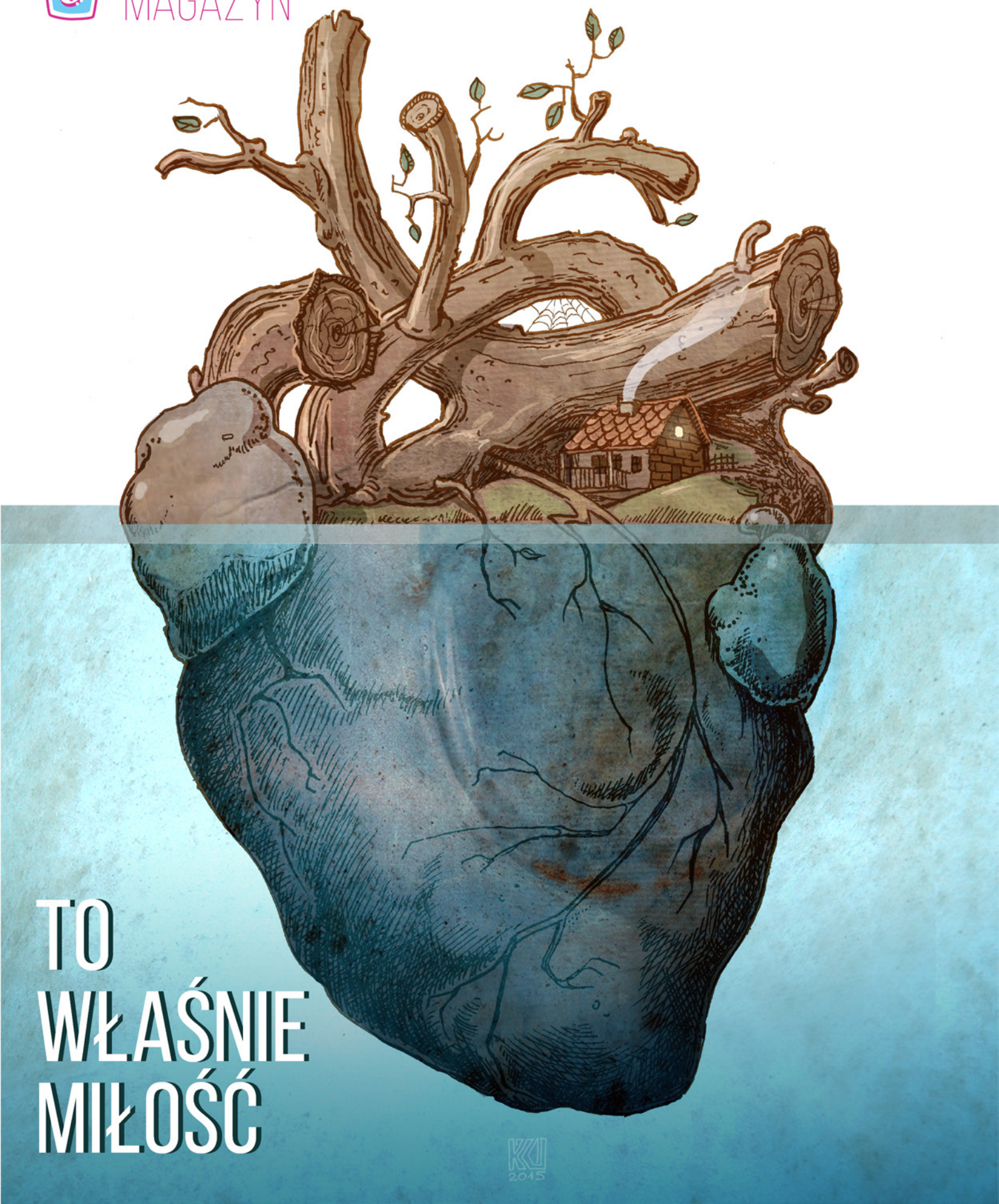

TO WŁAŚNIE MIŁOŚĆ

SPIS TREŚCI.

RUSS MEYER I KOBIETY 4
MARTA PŁAZA | JUDYTA MIERCZAK

CIĘŻKA MIŁOŚĆ 10
MARTA STAŃCZYK | KAMILA „PIGEON" KRÓL

Z MIŁOŚCI DO... SIEBIE 15
DOMINIKA JANIAK | EWELINA LEBIDA

MIŁOŚĆ? INTERNET? RATUNKU? POMOCY? 19
DAGMARA MARCINEK | MONIKA SOJKA

KOLONIA ZA ZŁĄ MIŁOŚĆ 25
AGATA WIECZOROWSKA | BEATA ŻURAWSKA

SKUTECZNE LEKARSTWO NA ZŁAMANE SERCE 29
ALEKSANDRA KWIATKOWSKA | AGATA TRYBUS

PO ŚLUBIE I RANDKUJĘ, CZYLI O POLIAMORII I ŚWIATOWYM POKOJU 33
ALEKSANDRA GRZEBALSKA | MAGDALENA MARCINKOWSKA

TYŁEK W ŚWIETLE REFLEKTORÓW,
CZYLI O MEDIALNEJ MIŁOŚCI DO TANIEJ SENSACJI 38
ADRIAN TURZAŃSKI | KAJETAN VON KAZANOWSKI

SPIS TREŚCI.

ZABÓJCZA MIŁOŚĆ 43
MAGDALENA MYRLAK | KAROLINA SULICH

ALL YOU NEED IS LOVE... AND BACON! 48
KATARZYNA NOWACKA | MARIUSZ HOŁOD

ARTYSTYCZNE ZWIĄZKI 54
PAULINA ZIĘCIAK | ANNA KRZTOŃ

MIŁOŚĆ W CIENIU PIRAMID 59
AGNIESZKA WIKTOROWSKA - CHMIELEWSKA | WERONIKA „WERA" GRZYWA

ANATOMIA SAMOTNOŚCI 63
Z BOŻEJ ŁASKI TOMASZ | KATARZYNA URBANIAK

© FUSS MAGAZYN
ISSN 2300-3758

REDAKCJA:
REDAKTORKA NACZELNA: MAGDALENA URBAŃSKA
ZASTĘPCZYNI REDAKTORKI NACZELNEJ, SKŁAD: KLAUDYNA SCHUBERT
ILUSTRACJA NA OKŁADCE: KATARZYNA URBANIAK
REDAKCJA I KOREKTA: MARTA STAŃCZYK

WYDAWCA:
CELEDU ANNA KATARZYNA MACHACZ
UL. CEGIELNIANIA 13/30
30-404 KRAKÓW

WWW.FUSS.COM.PL | REDAKCJA@FUSS.COM.PL

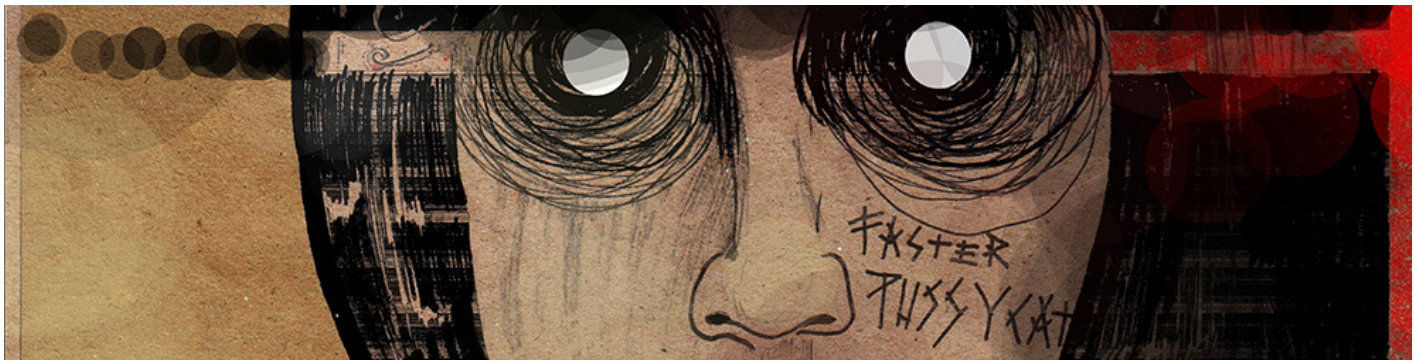

RUSS MEYER I KOBIETY

MARTA PŁAZA | JUDYTA MIERCZAK

Olbrzymie biusty, bezpruderyjne kobiety i seks unurzany we wdzięcznym klimacie wolnej miłości – z tym wszystkim kojarzyć się może nazwisko Russa Meyera. Twórca, który na swoich barkach wyniósł nurt *sexploitation* do rangi kultowego, paradoksalnie dał światu jeden z najbardziej feministycznych filmów swoich czasów. *Szybciej, koteczku! Zabij! Zabij!* (1965) to nie tylko raj dla męskiej części publiczności, ale i prawdziwa pochwała kobiecej siły.

Kino i erotyka nie mogą bez siebie żyć. Seksowne kobiety, przystojni mężczyźni i gorące romanse od początku były czynnikami, które gwarantowały filmowi reklamę – nawet wtedy, gdy zawodziła fabuła. Cielesność i nagość na ekranie sprzedawały się bardzo dobrze, a brak społecznego przyzwolenia potęgował zainteresowanie. Na przestrzeni lat zmieniał się sposób prezentowania przez kamerę filmową ludzkiej cielesności, dostosowując się do przemian obyczajowych. Przez to szokowała ona coraz mniej – pod koniec lat 50. zaczęto dystrybuować filmy ukazujące erotykę i ciało dosłownie. W końcu narodziło się kino *sexploitation*, w swoim podstawowym założeniu mające epatować nagością.

W 1930 roku MPPDA przyjęło tzw. Kodeks Haysa (znany również jako Kodeks Produkcyjny), który jasno określał, co można, a czego pod żadnym pozorem nie powinno się pokazywać na ekranie. Do tej drugiej kategorii należały m.in. sceny wulgarne czy obsceniczne, a nawet wyzywający taniec i kostium. O ile niektóre aspekty kinowego środka wyrazu słusznie były piętnowane przez cenzorów, o tyle cały Kodeks zahamował rozwój wielu gatunków w kinie amerykańskim, narzucając wiele niepotrzebnych czy absurdalnych wręcz ograniczeń.

Cenzorskie pęta z upływem lat zaczęły się rozluźniać. Wskutek zachodzących zmian obyczajowych kino coraz bardziej się liberalizowało i zaczęło śmielej spoglądać na człowieka. Niemniej jednak Kodeks Haysa w pełni zniesiono dopiero pod koniec lat 50., gdy coraz głośniej dawało o sobie znać kino undergroundowe, a wraz z nim jaśniejąca na horyzoncie rewolucja obyczajowa, która miała przewrócić kulturę do góry nogami. Podczas gdy mainstream skupiał się na kwestiach społecznych i rozliczeniach z mijającą epoką, underground penetrował najbardziej intymne zakątki ludzkiej cielesności, zgodnie z przedmiotem zainteresowań rewolucji seksualnej. Na

FABUŁA ZDAJE SIĘ BYĆ JEDYNIE PRETEKSTEM DO KUMULACJI WSZELKIEJ MAŚCI SZALEŃSTW I NIEMORALNEJ ROZRYWKI

tym tle do głosu doszedł nurt *sexploatation*. To właśnie w tamtym okresie kino osiągnęło punkt, w którym jakiekolwiek granice moralne straciły swoje znaczenie.

Sexploitation z czasem stało się najbardziej popularnym podgatunkiem kina *exploitation*, czyli niskobudżetowych filmów w celach komercyjnych ukazujących przemoc, nazistów, motocyklistów czy właśnie epatujące erotyką. Rozkoszowało się w pokazywaniu nagich dziewcząt, hołdujących swobodnemu stylowi życia, a przez to przeżywając różne erotyczne przygody. Prawdziwą legendą tego podgatunku był Russ Meyer. Zaczynał od niewinnych erotyków, nazywanych po prostu *nudie-cutie* (np. debiutancki *Niemoralny pan Teas*, 1959). Ewoluowały one w historie, które w równym stopniu eksplorowały tematykę seksu, jak również przemocy w estetyce kina gore. A choć wciąż to pokaźnych rozmiarów biusty odgrywały najistotniejszą rolę, Meyer wzbogacił swoje filmy o... fabułę.

Russ Meyer był prawdziwym człowiekiem swoich czasów. Rozpoczynając karierę filmowca na przełomie lat 50. i 60., kiedy konserwatywne, skostniałe struktury społeczne zaczynały coraz mocniej kruszeć, dołączył do grona głosów pokolenia rewolucji obyczajowej. Wykorzystując jej ideały, poniekąd sam wypłynął za sprawą nastroju maksymalnego rozluźnienia moralnego i seksualnego. Trudno wyobrazić sobie, aby kilka dekad wcześniej czy nawet później Meyer mógł w takim samym stopniu zawojować undergroundową (i nie tylko) kinematografię. Jego filmy częstokroć stanowiły pozbawioną wszelkich ograniczeń seksualną zabawę, gdzie główną zasadą obrazu było wypełnienie go jak największą ilością golizny. Na tym tle wyjątkowo wypada jednak *Szybciej, koteczku! Zabij! Zabij!* – najsłynniejsze bodaj dzieło reżysera.

Jak to bywa w przypadku większości dzieł powiązanych z kinem eksploatacji, tak i tutaj fabuła zdaje się być jedynie pretekstem do kumulacji wszelkiej maści szaleństw i niemoralnej rozrywki. Główne bohaterki to trzy tancerki go-go: Varla (w tej roli niezapomniana Tura Satana), Rosie (Haji) i Billie (Lori Williams), które uwielbiają ścigać się samochodami. Któregoś razu, przemierzając pustynne odludzie, trafiają na parę zakochanych. Varla wkrótce zabija chłopaka, natomiast pozostałą przy życiu dziewczynę (Susan Bernard) kobiety decydują się zabrać ze sobą jako ewentualną zakładniczkę. Gdy na pobliskiej stacji benzynowej dowiadują się o starcu, który mieszka na farmie nieopodal z dwójką synów, strzegąc podobno olbrzymiej ilości pieniędzy, postanawiają go odwiedzić.

W porównaniu z takimi filmami jak *Lorna* (1964), *Superwiedźmy* (1975) czy *Up!* (1976) *Szybciej, koteczku!...* zaskakiwał pruderyjnością. Panie, mimo że chętnie eksponują swoje wdzięki, do końca pozostawiają je – względnie – zakryte. W przeciwieństwie do wielu swoich poprzednich filmów Meyer tym razem postawił na akcentowanie siły kobiet, a nie ich ciał. Bezrefleksyjną goliznę zastąpił rysem społecznym. W filmie z 1965 Meyer pokazał, że tak naprawdę kocha nie tylko kobiece ciało, ale i kobiety jako takie. Dostrzega w ich fizyczności olbrzymią siłę i potencjał, który pragnie pokazywać na ekranie. Dla społeczeństwa przyzwyczajonego wciąż do konserwatywnej roli kobiety był to z pewnością duży szok.

W jednym z wywiadów reżyser stwierdził: „Osobiście preferuję agresywne kobiety. Superkobiety". Widać

BAD GIRLS
GO TO HELL

to na przykładzie trzech głównych bohaterek Meyera, którymi są twarde, wygadane i bezczelne tancerki. Grubą kreską odcinają się od typu kobiecości reprezentowanego przez Lindę, uprowadzoną dziewczynę. Jest to postać, która ucieleśnia ducha konserwatyzmu i patriarchalne spojrzenie na kobiecość sprzed rewolucji obyczajowej. Skromna, naiwna oraz szaleńczo zakochana, ogranicza swój żywot do osoby partnera. Przerażają ją kobiety, które nie dość, że bez problemu podkreślają swoją kobiecość, to w dodatku są silne, potrafią być bezczelne i brutalne – czyli dokładnie takie kobiety, jakie doszły do głosu w latach 60.

Okazuje się, że konflikt między bohaterkami nie był udawany. Szesnastoletnia Susan Bernard trafiła na plan w towarzystwie matki, która chciała zrobić z niej gwiazdę. Sytuacja irytowała całą ekipę, a najbardziej samego Meyera, który żałował obsadzenia dziewczyny, lecz nie mogąc już nic zmienić, w trakcie realizacji filmu postanowił młodą aktorkę dręczyć za pośrednictwem Tury Satany. Charyzmatyczna aktorka bez problemu przystała na to, oczywiście dla dobra filmu, i namówiła do działania również Haji i Lori – aby Bernard wypadła bardziej przekonująco jako niewinna, wystraszona małolata. Po latach wcielająca się w postać Lindy aktorka miała przyznać, że naprawdę cały czas się bała, że któraś z nich, a zwłaszcza Tura, ją pobije.

Szybciej, koteczku!... stało się w pewnym sensie głosem nadchodzącej epoki. Epoki obyczajowej swobody i twardych kobiet, które przestały ustępować mężczyznom. Zrzucając z siebie okowy patriarchalnego porządku, stały się samoistnymi postaciami, które bardzo dobrze bawią się ze sobą, traktując mężczyzn w taki sposób, w jaki dotychczas były traktowane przez nich. Meyer kochał kobiety. Ich ciała, energię i to, co potrafiły wnieść do historii. *Szybciej, koteczku!...* stał się fantastycznym hołdem złożonym kobiecości nowej ery, kobiecości świadomej i wyrazistej. Chcąc stworzyć prosty film o trzech laskach spuszczających łomot facetom, niezamierzenie nakręcił historię, która współgrała z drugą falą feminizmu. Zapytany w jednym z wywiadów o to, czy jego zamierzeniem było opowiedzieć się po stronie feministycznej ideologii, reżyser odpowiedział krótko i w swoim stylu: „Nie, po prostu wcześniej robiłem film (*Motor Psycho* [1965]), w którym faceci kopali dupy kobietom i pomyślałem: »A może by tak zrobić teraz film, w którym to kobiety kopią dupy facetom?«".

Meyer zdaje się w tym filmie wprost pogardzać facetami, naznaczając każdego z nich jakimś piętnem. Mężczyzna, którego zabija Varla, to typowy chłopaczek ze schludnego amerykańskiego przedmieścia, który niewiele wie o życiu, zamknięty w hermetycznym świecie ideałów. Z kolei starzec, który rzekomo ma przechowywać na swojej farmie wielkie skarby, został wykreowany przez Meyera na rasowego zboczeńca i psychopatę. Ewenementem są również jego dwaj synowie, z których jeden jest bardzo sprawny fizycznie, ale nie umysłowo, z kolei drugi inteligentny, ale bardzo słaby. Meyer nie lubi facetów.

Początkowo obraz spotkał się z bardzo kiepskim przyjęciem. Kiniarze krytykowali podteksty lesbijskie (jakie towarzyszą relacjom Varly ze stale zazdrosną o nią Rosie), publiczność narzekała na czarno-białą taśmę oraz na to, że w filmie nie ma nagości, do której Meyer wszak zdążył przyzwyczaić. Jednak od początku o wartości filmu przekonany był sam John Waters, który zaliczył wszystkie możliwe seanse w okolicy, namawiając do tego również przyjaciół. W tamtym okresie pracował jako krytyk filmowy, co wykorzystał, zamieszczając w lokalnej gazecie peany na cześć reżysera. W końcu panowie poznali się i zaprzyjaźnili. W 1981 roku w książce *Shock Value* Waters nazwał Meyera „Eisensteinem kina erotycznego", a *Szybciej, koteczku!...* – „niewątpliwie najlepszym filmem w historii".

Dzisiaj ten majstersztyk cieszy się statusem dzieła kultowego, uwielbianego zarówno przez miłośników

kina eksploatacji, jak również środowiska feministyczne i homoseksualne. Kilka lat temu fanów filmu zelektryzowała wiadomość, iż Quentin Tarantino przymierza się do realizacji *remake'u* historii trzech ostrych tancerek. Wieść okazała się plotką, jednak Tarantino dał światu *Death Proof* (2007), znakomity hołd złożony m.in. estetyce arcydzieła Meyera. Po raz kolejny więc na ekranach kin zagościły szybkie samochody, twarde kobiety i podporządkowani im mężczyźni.

Kobiety Meyera są wyzwolone seksualnie i obyczajowo. Swoją cielesność traktują jako atut, dzięki któremu mogą osiągnąć to, co chcą. Nie są spętane moralnymi ograniczeniami, dlatego też chętnie eksponują swoje ciała, a seks traktują jako rozrywkę. Ciała kobiet z epoki kodeksu Haysa były grzeszne i służyły jedynie zaspokajaniu męskiej przyjemności, natomiast w przypadku filmów Meyera, kobiety wyzwoliły się spod męskiej dominacji, dowartościowując własne potrzeby seksualne i poszukując erotycznej ekscytacji. Stawiane są na piedestale jako jednostki bardziej atrakcyjne od mężczyzn, a przy tym autonomiczne – ich seksapil jest cechą naturalną, której się nie kwestionuje ani nie interpretuje z perspektywy męskiego pożądania. Nic dziwnego, że aktorki wprost kochały Meyera i kochały się przed nim rozbierać. Meyer odwdzięczał się tym samym uczuciem, bo jego kamera kochała każdy skrawek kobiecego ciała.

KOBIETY MEYERA SĄ WYZWOLONE SEKSUALNIE I OBYCZAJOWO. SWOJĄ CIELESNOŚĆ TRAKTUJĄ JAKO ATUT, DZIĘKI KTÓREMU MOGĄ OSIĄGNĄĆ TO, CO CHCĄ.

MARTA PŁAZA

Absolwentka dziennikarstwa i filmoznawstwa. Pasjonatka horrorów, od klasycznych po te dziwniejsze. Miłośniczka gór i kociego futra. Po godzinach marzy o podróży po Nowej Zelandii śladem Drużyny Pierścienia i wyjeździe do Nowego Jorku na festiwal filmów Tromy.

JUDYTA MIERCZAK | JUDYTA BLACK LINE

Absolwentka Uniwersytetu Śląskiego, mieszka w Bielsku Białej. Komiksuje, rysuje, maluje, poszukuje.

FASTER
PUSSYCAT
KILL!
KILL!

CIĘŻKA MIŁOŚĆ

MARTA STAŃCZYK | KAMILA „PIGEON" KRÓL

Grana przez Lenę Dunham Hannah z *Dziewczyn* pokazała poziom społecznej dyskryminacji ze względu na wagę. Komentarze dotyczące produkcji HBO nierzadko koncentrowały się na pokazywanym przez aktorkę nagim ciele z „nadprogramowymi" kilogramami. Ku ogólnemu zgorszeniu: bez ziarna wstydu. Odcinek *One Man's Trash* z drugiego sezonu serialu opowiadał o poczuciu osamotnienia i problemach z akceptacją samej siebie. W punkt, ponieważ internauci pokazali, że osoby noszące ubrania w rozmiarze 38+ mają ograniczone prawo do szczęścia – widzom mało prawdopodobne wydało się, że dziewczyna jak Dunham mogłaby spodobać się takiemu mężczyźnie jak Patrick Wilson.

Podobne kontrowersje i *fat panic* wzbudził serial *Homeland*, prezentując w odcinku *Trylon and Perisphere* seks Petera Quinna (Rupert Friend) z anonimową „grubaską" (Emily Walker). Zazwyczaj zresztą puszyści są w telewizji albo niewidzialni, albo padają ofiarą żartów – czasami dwie strategie stosuje się naraz, czego najbardziej dobitnym przykładem pozostaje matka Howarda z *Teorii wielkiego podrywu*. O istnieniu pani Wolowitz świadczą zrzędliwe okrzyki i olbrzymie zapasy jedzenia w lodówce. Faktem jest, że osoby w rozmiarze XL pojawiają się głównie w komediach, stanowiąc ofiary żartów lub utożsamiając stereotyp śmiesznego grubasa. Nawet wrażliwy na kwestie społeczne *Parks and Recreation* nagminnie używa *fat shamingu* – bohaterowie uważają na przykład, że związek otyłego Jerry'ego (czyt.: objadającego się, niezdarnego i mającego wzdęcia) ze szczupłą Gale (czyt.: nieskazitelnie piękną i zadbaną) łamie zasady wszelkiej logiki. Z kolei tytułowa para z sitcomu *Mike i Molly* definiowana jest głównie przez swoją wagę. Jest to też pierwsze skojarzenie Google'a, kiedy w wyszukiwarce wpisuje się „Rebel Wilson", czyli nazwisko aktorki znanej również jako Fat Amy.

SPRAWA WIELKIEJ WAGI

Choć te przykłady nie wyczerpują „listy zażaleń", sytuacja powoli się zmienia. Przede wszystkim na szklanych ekranach pojawiają się w końcu krąglejsze osoby i to nie tylko w rolach Aunt Jemimy, czyli grubych czarnoskórych służących. C.K. Louis w swoim serialu *Louie*, gdzie jest po prostu sobą, czyli komikiem w średnim wieku i z brzuszkiem, dostaje lekcję od Vanessy (Sarah Baker) za to jak on – jako reprezentant mężczyzn – traktuje grub-

sze kobiety (odcinek *So Did the Fat Lady*). Powstają takie produkcje jak *Orange Is the New Black*, ukazujący cały wachlarz charakterów, ale i sylwetek, czy *My Mad Fat Diary*, serial dla nastolatków, który ukazuje, że jeśli zaakceptujemy siebie, nasz rozmiar staje się kwestią drugorzędną. Poza tym obok Dunham i Wilson można zobaczyć w telewizji w rozbudowanych rolach Melissę McCarthy, Rettę, Danielle Brooks itd. To „i tak dalej" jest naprawdę dobrym symptomem.

Przykładem ambiwalentnego traktowania w telewizji tematu nadwagi jest stacja TLC – otyłość traktuje się tu zwykle jako coś nienormatywnego i próbuje okiełznać. W anglojęzycznym piśmiennictwie określa się to zjawisko mianem *fatphobia* – osoby otyłe ukazywane są jako leniwe, ubogie i niewyedukowane, a przez to traktuje protekcjonalnie. Podobnie utożsamia się rozmiary powyżej 40 z chorobliwą nadwagą (przesąd, z którym walczy m.in. kampania Health at Every Size). Specjalizują się w tym wszelkie *make-over shows*, z których wiele emitowanych jest stale w ramówce TLC. W *Otyłości, która zabija* pokazuje się operacje bariatryczne, poprzedzone oczywiście *backstory* – narracją o tym, jak nadwaga niszczy życie rodzinne, uczuciowe i zawodowe; podobnie w *Historiach wielkiej wagi*, gdzie akcent kładzie się na „ratowanie życia"; z kolei w *Ekstremalnym odchudzaniu* dietę i ćwiczenia traktuje się jako rywalizację, tworząc arenę dla współczesnych „dziwolągów".

Życie ludzi z nadwagą prezentowane jest niemalże w konwencji *freak show* – osoby o „normatywnej" wadze urządzają polowania z kamerą, pokazując grubsze osoby niejako ku przestrodze, a odchudzanie traktując jako podstawowe zadanie ludzkości. Nie tylko komentarze, ale i narracja są dyskryminujące. Jednak TLC prezentuje również programy typu *Szczęście nie zna wagi* – program o tancerce Whitney Thore, która w ciągu roku przytyła prawie 100 kilo przez PCOS. Z jednej strony widać tutaj klasyczny element *fat shamingu* – nadwaga jest usprawiedliwiana, jeśli spowodowała ją choroba. Z drugiej – Whitney ukazana została jako pełnowymiarowa postać, która ma przyjaciół, romansuje, nadal tańczy, a jej problemy nie sprowadzają się wyłącznie do rozmiaru. To nie kobiety z nadwagą stanowią problem, a raczej ich otoczenie – co ukazują również *Puszyste panny młode*. Bohaterki tego programu żyją w szczęśliwych związkach, pełnią różne role w życiu zawodowym i prywatnym, a kłopot mają „tylko" ze znalezieniem sukni ślubnej. Ukazuje to opresyjność kultury. Takie programy, mimo ich głównie komercyjnego wymiaru, pomagają w akceptacji własnego ciała oraz różnorodności.

DUŻE JEST PIĘKNE

Dawniej Christina Aguilera śpiewała, że każdy jest piękny. Dzisiaj *plus-sized models* śpiewają, że są „bez zarzutu" (*Flawless*). Właściwie nie śpiewają, bo to *lip-synching*. Właściwie kopiują piosenkę Beyoncé. No i właściwie większość osób wolałaby oglądać Aguilerę, roniącą łzy (w rozmiarze XS) nad brzydkimi i pogardzanymi (w rozmiarze XL). Dlatego nagranie Tess Holliday, Gabi Gregg i Nadii Aboulhosn jest tak istotne – kobiety zabrały głos w swoim imieniu, zerwały z łatką ofiar i dumnie prezentowały swoje ciała. W dodatku w słusznej sprawie, ponieważ wszystkie związane są z działaniem aktywistycznym określanym jako ruch *body positivity* czy *fat liberation*.

ŻYCIE LUDZI Z NADWAGĄ PREZENTOWANE JEST NIEMALŻE W KONWENCJI *FREAK SHOW*

DO NOT
CA RE
pigeon.

Celem tego ruchu jest zmiana społecznego nastawienia oraz definicji „ciała normatywnego". Różnorodność pokazywana jest jako coś pięknego i godnego pielęgnacji. Takie podejście to niekoniecznie świeża sprawa, wiązana z modelkami noszącymi ubrania w rozmiarze 50 czy kampanią kosmetyków Dove. Za początek ruchu *body positivity* uznaje się koniec lat 60., kiedy powstała NAAFA – National Association to Advance Fat Acceptence, organizacja walcząca z dyskryminacją rozmiarową. Wkrótce również aktywiści połączyli siły z ugrupowaniami feministycznymi, uważając, że kobiety bardziej cierpią z powodu silnie zakorzenionych w kulturze kanonów piękna. Powstały takie grupy jak The Fat Underground, The London Fat Women's Group czy Allegro fortissimo. W 1979 Carole Shaw założyła magazyn modowy i *lifestyle'owy* dla puszystych kobiet: „Big Beautiful Women" (stąd skrót BBW, który pojawia się w tekstach anglojęzycznych; analogicznie funkcjonuje BHM – „Big Handsome Man"). Powstawało coraz więcej inicjatyw *fativistów*. W latach 90. idee ruchu zaczęły przedostawać się do mainstreamu i inspirować badania dotyczące związku między wagą a chorobami. W XXI wieku zaczęto różnicować BBW ze względu na pochodzenie etniczne i klasowe czy orientację seksualną. Testowano również ideę demokratyczności internetu – i obok *fat shamingu* alternatywny przekaz o doświadczeniach osób z nadwagą umieszczano w tzw. „fatosphere", czyli bazie blogów, a następnie również w mediach społecznościowych.

Przy każdym osiągnięciu można pewnie wypunktować mnóstwo kontrprzykładów. Zdjęcia pośladków Nicki Minaj, „plażowe ciało" promowane przez Protein World, memy z grubą feministką, fale hejtów po obsadzeniu w filmie „brzydkich" aktorek (z przerażeniem można śledzić reakcje na wieści z planu *remake'u Ghostbusters* – w filmie Paula Feiga oburzenie budzi nie tylko płciowa inwersja, ale przede wszystkim angaż Kristen Wiig czy Kate McKinnon, które śmieją nie wyglądać jak Megan Fox), odnotowywanie w mediach każdego nowego kilograma celebrytów, statystyki bulimii, anorektyczne sylwetki modelek czy nawet ubrania dostępne w sklepach, rzadko dostosowane do szerszych ramion czy bioder. Ale jest coraz więcej osób, które kochają własne ciało, dobrze się w nim czują i mówią o tym głośno, mimo że nie mieszczą się w rozmiar 34 czy nie mają wymiarów 90-60-90. I co interesujące – jest więcej osób, mediów, agencji modelek itd., które im przyklaskują. Jedną z najbardziej wpływowych *plus-sized model* jest wspomniana już Tess Holliday, aktywnie działająca na rzecz *body positivity*, a zarazem zatrudniana w licznych kampaniach reklamowych – czysto komercyjnych. To wciąż alternatywny modeling, ale coraz bardziej rozpowszechniony trend, o czym świadczą przede wszystkim media społecznościowe. „Rubensowskie kształty" promowane są licznymi hasztagami – podważającymi kanony piękna #EffYourBeautyStandards czy #HonorCurves, pokazującymi modę dla „niestandardowych" rozmiarów #Fatkini, #GoldenConfidence czy #AndIGetDressed, a także ukazującymi ciało jako pole walki #ThighReading i #LoveYourLines. Niektóre utworzone są przez magazyny czy aktywistów z ruchu *body positivity*, inne są inicjatywami całkowicie oddolnymi, jak chociażby ciekawe konto na Instagramie – #IAmNotModelEither, które uświadamia, że świat modelingu jest hermetyczny niezależenie od rozmiaru jego przedstawicielek. *Plus-sized models* zapominają często o reprezentowanych przez siebie kobietach, kiedy osiągają sukces. Nierzadko świadczy on nie tyle o akceptacji i okiełznaniu *unruly body*, co o pewnym „popycie".

KOCHANEGO CIAŁKA NIGDY ZA WIELE

Ruch *body positivity* walczy nie tylko z odrzuceniem, ale i przeciwstawia się obsesji. O tej drugiej pisze się coraz więcej artykułów i realizuje dokumentów, czego przykładem znowu może być prezentujący wszelkie zjawiska społeczne w klimacie taniej sensacji kanał TLC – w ramówce umieścił bowiem film *Puszysty fetysz* (2012, Nick Betts, Jon Cahn). Obok mężczyzn wykorzystujących niską samoocenę kobiet z nadwagą dla urozmaicającej wieczór rywalizacji (tzw. *hogging*) oraz „tradycyjnych" miłośników krągłości, nazywanych *chubby chasers*, funkcjonują osoby, które przekraczają normy obowiązujące w naszym kręgu kulturowym. Internetowy underground pełny jest fetyszystycznych

stron dla ludzi określanych jako *fat admirers*, które mogą znaleźć zdjęcia i filmy rejestrujące proces tycia lub erotyzowane ujęcia osób – zwykle kobiet – z dużą nadwagą; mogą umówić się przez Skype'a na pokaz, którego główną atrakcją jest zabawa brzuchem; mogą znaleźć kobiety, które za opłatą zgodzą się przykładowo na nich usiąść; mogą w końcu na specjalnych portalach randkowych znaleźć swoją *feedee*.

Feedee to osoba, która czerpie erotyczną przyjemność z bycia karmioną oraz z przybierania na wadze. Z kolei *feeder* czerpie erotyczną przyjemność z karmienia partnera, z obserwowania – długoterminowo – jak tyje, krótkoterminowo – jak brzuch w widoczny sposób wypełnia się jedzeniem. Stąd często stosuje się w czasie aktu seksualnego karmienie przez lejek. Ta parafilia porównywana bywa do BDSM, ponieważ dużą rolę odgrywa w takich związkach kwestia dominacji. *Feeder* – najczęściej jest to mężczyzna – uzależnia od siebie partnerkę. Odpowiada za karmienie i kontroluje zmiany w jej ciele. Przykładowo ustala wagę, którą powinna osiągnąć kobieta. Zwykle jest już to poziom zaawansowanej otyłości, który w znaczący sposób utrudnia poruszanie się i wykonywanie nawet najprostszych czynności codziennych – takich jak prysznic – przez co skazuje kobietę na trwałą zależność od *feedera*. Taka forma miłości jest z pewnością niebezpieczna, czasami wręcz patologiczna, lecz wynika z pewnej sytuacji kulturowej. Sprowokowana została bowiem przez opresyjność kanonów piękna i tabu, jakim jest niedoskonałe ciało. *Fat fetish* jest próbą transgresji. *Feeder* sprzeciwia się radykalnie dominującemu ideałowi urody, a *feedee* nie tylko uczy się akceptacji własnego ciała, lecz dokonuje prywatnej rewolucji, gdy świadomie podejmuje decyzję o tyciu.

Taki sposób myślenia rodzi się wraz z brakiem akceptacji własnego ciała oraz z brakiem akceptacji „nienormatywnej" obecności w przestrzeni publicznej: na imprezach, na randkach, w sklepach czy w mediach. Choć nie wszystkie seriale czy filmy umieszczające „puszystego" bohatera muszą się podobać, to promują zróżnicowanie i przełamują hegemonię, która wprowadzała w kompleksy przeciętnych śmiertelników. Powoli i małymi krokami wysyłają przekaz o tym, że nie istnieje jeden ideał piękna. I że osoby niemieszczące się w rozmiar 36 mają prawo do normalności, w tym do miłości – także własnej.

MARTA STAŃCZYK
Studentka Uniwersytetu Jagiellońskiego, filmoznawca wannabe. Trochę ogląda, trochę czyta i trochę słucha, ponieważ marzy o zostaniu kulturalnym krakusem.

KAMILA „PIGEON" KRÓL
Młody gołąb, który zawsze ma za dużo planów i pomysłów. Studiuje ilustrację w Cardiffie, a w wolnych chwilach czyta, rysuje, odwiedza ciekawe miejsca i zmyśla historie.

Z MIŁOŚCI DO... SIEBIE

DOMINIKA JANIAK | EWELINA LEBIDA

Już jako mała dziewczynka z absolutnym zauroczeniem oglądałam popularny serial końca lat 90. – *Seks w wielkim mieście*. Oczywiście z należytym skupieniem mogłam śledzić losy głównych bohaterek tylko u babci… I choć rozumiem rodziców, którzy uważali ten amerykański serial za nieodpowiedni dla dzieci, to z perspektywy czasu myślę, że jest to *must see* Polaków XXI wieku. Bo czy właśnie nie wkraczamy w epokę Carrie Bradshaw, gdzie miłość zdobywało się poprzez niezliczone randki z co rusz to nowymi kandydatami na partnera?

Już od dziecka świat nowojorskich lat 90. miał dla mnie urok. Chciałam być jak główna bohaterka *Seksu w wielkim mieście*. Odważna i szalona, uparcie dążąca do spełnienia wszystkich marzeń. Chciałam mieć szafę pełną kolorowych ubrań i pantofelków i pisać. Chciałam pisać! Nie wiem, czy o relacjach pomiędzy dwojgiem ludzi, czy o seksie, a może o czymś zupełnie innym – ale chciałam. Mieć kręcone włosy, zasiadać przed komputerem w najdziwniejszych miejscach mojego mieszkania, a obok stałoby martini i papierosy. Tak jak to robiła Carrie. Dzisiaj z kolei wydaje mi się, że tyle nas łączy! Uwielbianie bibliotek i zapachu książek na półkach, miłość do zakupów i butów, a przede wszystkim – do facetów. Bohaterka *Seksu w wielkim mieście* nieustannie analizowała męskie zachowania i związki, a wykorzystując doświadczenia własne i swoich trzech przyjaciółek, stworzyła prawdziwy katalog typów mężczyzn. Chociażby Mr. Big, potwornie męski, z klasą, szarmancki i… uparty. Albo Aidan, mężczyzna o chłopięcych cechach, zagorzały przeciwnik nikotynowego dymu, który przypomniał mi, że facet wie, do czego służy młotek i śrubokręt, kiedy cyklinował Carrie podłogę. Trudno nie wspomnieć także o Stanfordzie, oddanym przyjacielu, na którego Carrie zawsze mogła liczyć – to z nim często debatowała nad męskim ego i sposobami podboju serc płci przeciwnej... Carrie była dla mnie inspiracją. Skoro osiągnęła spełnienie swych marzeń, była najlepszą wersją samej siebie, nie chcąc być kimś innym, postanowiłam iść w jej ślady… i chyba nie tylko ja, a spora grupa Polaków XXI, którym znudziło się już siedzenie w fotelach z pilotem w ręku. Współcześni rodacy chcą czegoś więcej, chcą życia, w którym nie muszą się martwić o stan swojego konta i o czas, chcą go mieć zarówno na pracę, rozwój, jak również na przeżywanie i doznawanie. Smakowanie życia – jak robiła to Bradshaw.

Jak żyje współczesna 20-latka? Szybko. Mieszka w wy-

smakowanie
życia

najmowanym mieszkaniu lub pokoju wraz ze znajomymi. Dzień rozpoczyna od wody z cytryną, bo nie ma czasu na śniadanie (a w weekendy leczy tym sposobem pamięć po nocnych szaleństwach z alkoholem w roli głównej). Biegnie na uczelnię lub do pracy, gdzie rozpoczyna interakcję z ludźmi. Chyba że jest tak zapracowana, że nie ma czasu na wypad na lunch do kantyny. Wieczory spędza nad notatkami lub na mieście ze znajomymi, gdzie w skupieniu wszyscy śledzą świeże posty na FB. Ale czy nie jest tak, że każda marzy o sukcesie na miarę Carrie? Gdzie mogłaby bez mrugnięcia okiem zaopatrzyć swoją garderobę w buty od Manolo Blahnika i wypić wieczorem cosmopolitana z przyjaciółkami, podziwiając najnowszą wystawę fotografii w galerii sztuki. I właśnie tam poznać nieziemsko przystojnego i równie bogatego księcia z bajki. A przy tym wierząc, że ciężką pracą osiągnie sukces. Taki stereotypowy opis 20-latki to na szczęście model przechodzący metamorfozę. Modne stało się – i widzę w tym rolę serialu - dbanie o siebie i swój rozwój. Dziewczyny zamiast mówić, że coś jest bez sensu, że szkoda na to czasu, wolą podejmować ryzyko i stać się paniami własnego losu. Przed uczelnią jogging w parku, wieczorami joga lub kurs tańca bądź języka obcego. Spotkania ze znajomymi to coraz częściej wspólne wyjścia do teatru czy na otwarcie najnowszej wystawy. Butów Manolo Blahnika może jeszcze nie nosimy, ale w zamian dostaliśmy torby Michaela Korsa (w prawie masowej ilości). Mam tylko nadzieję, że nie zostanę posądzona o herezję, jeśli ośmielę się stwierdzić, że liczę na to, że coraz więcej moich rówieśników zacznie czerpać inspirację z życia Carrie – i staną się szczęśliwszymi ludźmi, kroczącymi drogą, na której będą spełniać się ich marzenia.

Obserwując polskie miasta – w szczególności Warszawę – zauważam świat Carrie, gdzie każdy dzień jest dynamiczny i barwny, po chodnikach chodzą ludzie z wypełnionym po brzegi grafikiem, gdzieś biegną – na spotkanie, do pracy, na siłownię czy do kosmetyczki. Nieistotne zresztą gdzie. Ważne, że zaczynają realizować punkty z dziecięcej listy: „kiedy będę dorosły, będę…". Przy tym nie zapominają o sobie. Chcą zdążyć na lunch z przyjaciółmi, wypić kawę w modnym lokalu, a przed zamknięciem Vitkaca odwiedzić równie modne sklepy, wieczorem zaś zahaczyć o wystawę zdjęć lub obrazów. Wbrew powszechnej tendencji nie krytykuję Warszawy – może nawet trochę zazdroszczę. Jadąc tam, ludzie wierzą, że odniosą sukces, znajdą miłość – w każdej jej postaci – i będą szczęśliwi. Będą mogli żyć dokładnie tak samo jak w amerykańskim serialu. Albo jak w polskiej komedii romantycznej. Te pokazujące stolicę sugerują, że nie ma tutaj rzeczy niemożliwych i to właśnie dzisiaj możesz być, kim chcesz. Jak w filmie *Miłość na wybiegu* (2009, Krzysztof Lang), gdzie główna bohaterka z nadmorskiej smażalni ryb przeniosła się na tytułowy wybieg, prezentując najnowszą kolekcję Macieja Zienia. Z kolei *Facet (nie)potrzebny od zaraz* (2014, Weronika Migoń) to klisza, w której poszczególnych klatkach widzimy stereotypy o polskich mężczyznach, ale i bohaterkę aktywnie poszukującą miłości, nieczekającą na rycerza na białym koniu. I wszystko to w naszym stołecznym mieście, do którego jedziemy po poczucie spełnienia i szczęścia. Czują to, co Carrie do Nowego Jorku – to tam było jej miasto

ZAINSPIROWANI *SEKSEM W WIELKIM MIEŚCIE* – W KOŃCU – MAMY SWÓJ WŁASNY NOWY JORK, KTÓRYM JEST WARSZAWA,ALE PRZEDE WSZYSTKIM MAMY LUDZI, KTÓRZY JUŻ NIE BOJĄ SIĘ GŁOŚNO POWIEDZIEĆ „SEKS" CZY PRZYZNAĆ SIĘ, ŻE MAJĄ MNÓSTWO MARZEŃ I ZAMIERZAJĄ JE WSZYSTKIE SPEŁNIĆ.

snów i marzeń, kochała je takim, jakie jest, była dumna, że może być jego cząstką. Manhattan dał jej siebie samą – najlepsza dzielnica miasta i ona, najlepsza wersja samej siebie. Nie chciała być kimś innym i czerpała z tej miejskiej energii. Czy my mamy podobnie? Polska wizja American Dream to głównie Nowy Jork – wierzymy, że tylko tam staniemy się wyjątkowi, a marzenia są na wyciągnięcie ręki. Ten utopijny wręcz obraz na całe szczęście przechodzi do lamusa. Tworzymy własny sen. Czy jest to sen o Warszawie, czy może nasze nowojorskie lata 90.? Zainspirowani *Seksem w wielkim mieście* – w końcu – mamy swój własny Nowy Jork, którym jest Warszawa, własny Manhaattan, jakim jest słynny na całą Polskę Mokotów, ale przede wszystkim mamy ludzi. Ludzi, którzy już nie boją się głośno powiedzieć „seks" czy przyznać się, że mają mnóstwo marzeń i zamierzają je wszystkie spełnić, a część z nich już jest wykreślona z listy „*to do*" i wpisana na „*I have…*".

Analizując poszczególne odcinki *Seksu w wielkim mieście* możemy znaleźć odwzorowania wielu scen w polskich miastach, gdzie coraz częściej ludzie sukcesu „bywają" tak jak Carrie i jej 3 pozytywnie zwariowane przyjaciółki. Są to sceny przedstawiające życie codzienne Carrie, która w całym pracowitym dniu ma czas na wyjście do knajpy z przyjaciółkami, idzie na fitness, a po drodze do domu odwiedza sklep, by uczcić swój sukces nową parą butów. Mamy swoje pasje, dbamy o swój rozwój duchowy i cielesny. Co ważniejsze, o Polkach możemy powiedzieć, że są kobietami sukcesu na miarę Carrie – posiadają dobrą pracę, prestiż i dobra luksusowe, jadają w modnych knajpach i chodzą na głośne eventy. Przełamują stereotyp polskiej kobiety sukcesu jako kobiety około 40. roku życia, która swój dzień zaczyna porannym treningiem i kawą, czytając gazetę lub przeglądając artykuły w sieci. Po drodze do pracy odwozi dzieci do szkoły, pamiętając o wręczeniu im torebki ze śniadaniem. Z biura wychodzi późnymi wieczorami, zahaczając o swoją ulubioną kosmetyczkę, ale wracając na tyle wcześnie, żeby zapytać dzieci, jak im minął dzień. W Polsce sukces kobiety wiązany był (i bywa) z macierzyństwem – czy nadal współgra on z gromadką dzieci, czy to raczej brak rodziny jest jego symbolem? Stopniowo zaczyna być zacierany wzorzec kobiety rezygnującej z siebie na rzecz sukcesu. Polskie kobiety chcą być – i takie się stają – niezależne finansowo, chcą być paniami swojego losu, zadbanymi i noszącymi ubrania od najmodniejszych projektantów, a do tego mającymi czas na spotkania z przyjaciółmi. Carrie Bradshaw nauczyła nas – a może nadal uczy – mówić o naszych potrzebach, o tym, czego pragniemy, i realizować to, o czym wiemy, że jest dla nas dobre i że się w tym sprawdzamy.

Bacznie śledząc jej życie podczas 6 sezonów serialu, widzimy, jak ewoluowała, jak krok po kroku osiągała swój sukces. Oswajając się z jej stylem życia, oswajamy się też z możliwością polepszenia własnego, a przez to – stawania się szczęśliwym człowiekiem z całą walizką sukcesów. I o to chyba właśnie chodziło: żeby nie chcieć być jak Carrie, a się od niej uczyć. I uwierzyć, że można. Tak zwyczajnie możemy mieć własne miasto snów, snów, które się spełniają i bynajmniej nie są koszmarami, a my szarymi jednostkami – tylko wspaniałymi ludźmi, wierzącymi w siebie i swój sukces.

DOMINIKA JANIAK

Świeża studentka WSB w Poznaniu. Odrywając się od rzeczywistości zmierza w stronę teatru. Chodząc z głową w chmurach, namiętnie słucha muzyki jednocześnie analizując relacje międzyludzkie. Ze skłonnościami do zakupoholizmu i pracoholizmu. W nielicznych wolnych chwilach obmyśla plan przyszłych podróży. Jesiennymi wieczorami z kubkiem gorącej herbaty, w towarzystwie dobrego filmu robi szaliki.

EWELINA LEBIDA

Krakowianka, filmoznawca UJ, od 2008 roku zajmuje się autorskim kolażem łączącym słowa i obrazy. Uwielbia prowadzić samochód, prozę Jerzego Pilcha i jazz. Gdyby miała być filmem byłaby *Godzinami* Stephena Daldry'ego. Prowadzi butik on-line Lawendowy Wieszak. Marzy o ilustrowaniu magazynów na szeroką skalę.

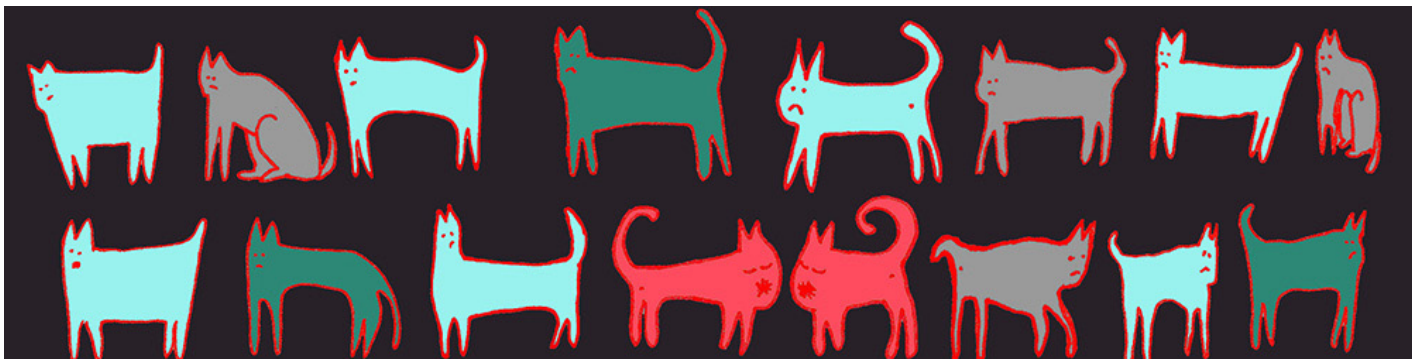

MIŁOŚĆ? INTERNET? RATUNKU? POMOCY?

DAGMARA MARCINEK | MONIKA SOJKA

Kilka miesięcy temu użytkownicy portali randkowych zadrżeli na wieść o ujawnieniu przez hakerów nazwisk klientów serwisu AshleyMadison.com. Szybko okazało się, że drżeć powinni głównie mężczyźni, bo ponad 95 proc. kont kobiet jest tam… fałszywa. Portal reklamuje się słowami: „Życie jest krótkie. Czas na romans". To ile czasu i pieniędzy zmarnował każdy z 31 milionów zarejestrowanych tam facetów, by wśród oceanu bootów znaleźć realną możliwość zdrady, wiedzą tylko oni sami.

AshleyMadison nie jest w Polsce portalem zbyt popularnym. Wyciek danych pokazał jednak, że i w kraju nad Wisłą kilkadziesiąt tysięcy osób szuka tam kochanków i kochanek. Nie dziwi 6 tysięcy zarejestrowanych użytkowników w Warszawie, prawie 2 tysiące w Krakowie, około 1,5 we Wrocławiu i Poznaniu. Wszystkich zaskoczyło natomiast, że z serwisu korzystali także mieszkańcy niewielkich wsi: kilkanaście osób w opolskiej Ligotce, świętokrzyskim Szczypcu czy warmińsko-mazurskim Szczepankowie. Na AshleyMadison uciech szukało również 43 internautów z Uciechowa, wsi liczącej sobie ledwo ponad 1000 mieszkańców. Jak widać, przez płot sąsiad z sąsiadem nie tylko się kłócą, ale i podpowiadają, gdzie szukać romansu.

KTO TAM? KTO JEST W ŚRODKU?

Dane amerykańskiego serwisu pokazują więc, że wieść o portalach randkowych dotarła już wszędzie. I do dużych miast, i małych wsi. Do samotnych i tych będących w związkach. Do tych, którzy czekają na pierwsze romantyczne uniesienia, i do tych, którzy porywy serca mają już za sobą. Jednak nasze społeczeństwo szukanie miłości w sieci wciąż trochę uwiera. Jedni śmieją się, że z tych portali korzystają wyłącznie desperaci, tak brzydcy i tak nieśmiali, że nie poradziliby sobie w realnym kontakcie. Inni grzmią, że chodzi tam tylko o seks. Czas odczarować te mity. I chociaż miałam swoje profile na stronach Kumpello czy Fellow, to o internetowych znajomościach

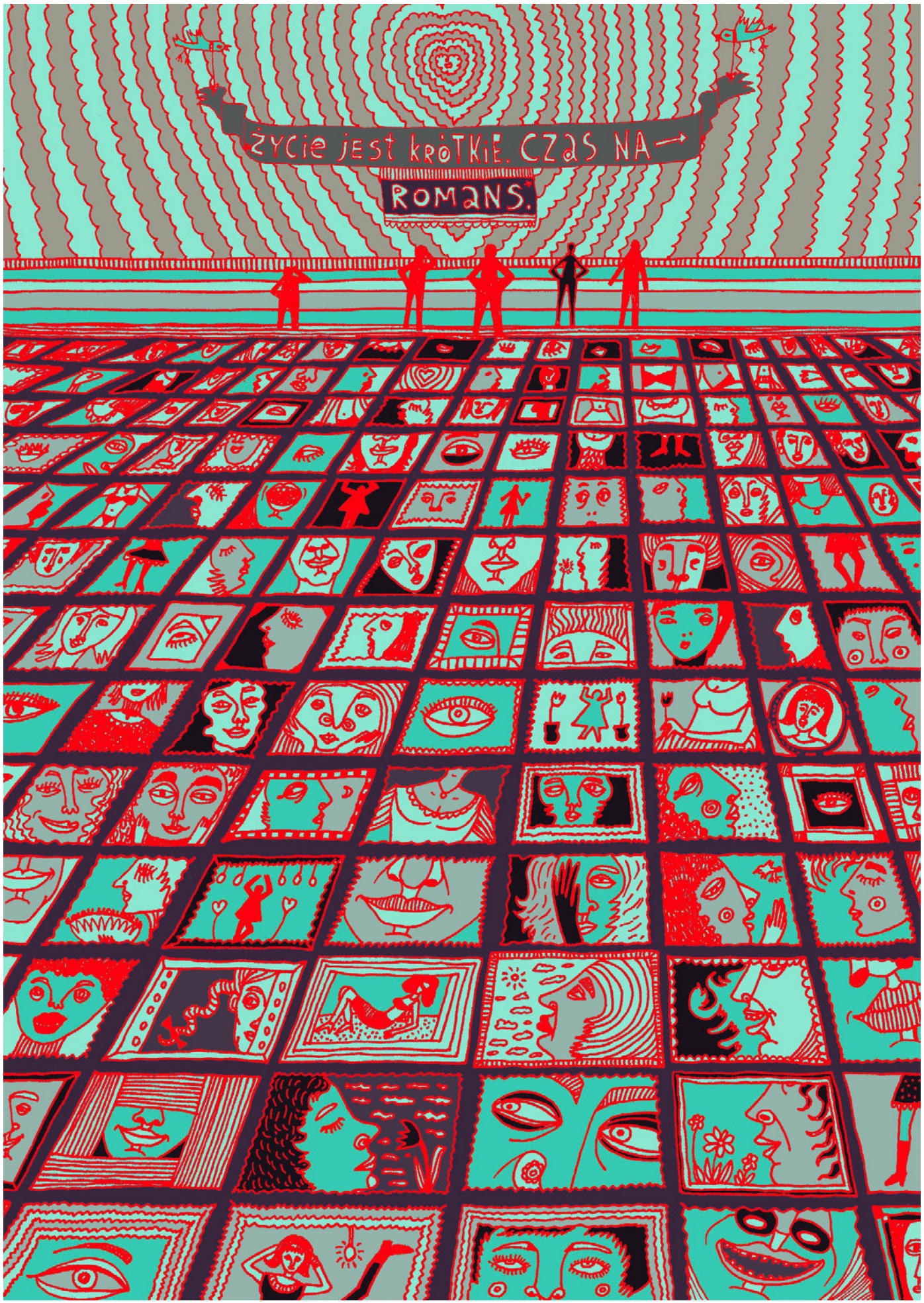
ŻYCIE JEST KRÓTKIE. CZAS NA
ROMANS.

opowiem z perspektywy kobiety zainteresowanej mężczyznami. Taka była moja perspektywa, więc proszę, wybaczcie jednostronność.

Na portalach randkowych jest wielu „życiowych nieudaczników", ale czy facetów bez pomysłu na siebie nie spotykamy codziennie? Za to w internecie udało mi się trafić na kilku informatyków, niektórych z nieźle prosperującymi własnymi biznesami, na podróżnika, który kilka miesięcy temu otworzył własny street food, na pracowników korporacji, których stać i na samochód, i na własne mieszkanie, na menadżerów, fotografów, podróżników… Mogłabym wymieniać długo. Oczywiście znalazł się też zakompleksiony policjant, który przez pół spotkania wstydził się przyznać do swojej pracy. Trafił się student, który czwarty raz był na pierwszym roku AGH. Może i dwóch takich studentów. Albo i trzech. Kiedyś przyplątał się koleś, który zdążył odsiedzieć dwa wyroki w więzieniu – jeden za dilerkę, drugi za kradzież samochodów. Nie wiem, czy można go więc nazwać nieudacznikiem – w końcu był całkiem przedsiębiorczy. Tylko mu się nie udało.

Nieśmiałość? Tak, zdecydowanie dużo łatwiej napisać „Cześć, co słychać? Ładne masz oczy" wirtualnie, niż podejść do dziewczyny na ulicy. Internet sprawę uprościł, poszerzył możliwości, dał fałszywe poczucie anonimowości. Fałszywej, bo przecież spotkaną na ulicy twarz zapomnimy szybciej niż tę pojawiającą się nonstop na profilowej fotce w portalu społecznościowym. Dla tych, którzy wstydzą się podejść w tramwaju, powstały nawet różne fanpage typu Spotted: MPK. Tam o tym, że ktoś nam się spodobał, pisze się z facebookowego konta – ze swoim imieniem, nazwiskiem i pozostałymi danymi. „Obciach" w przypadku ewentualnego „kosza" jest więc większy, a mimo to dużo więcej „zaczepek" otrzymujemy w sieci niż realu. Choć nie jest to zrozumiałe, przyjmijmy to za fakt.

Jacy są więc w rzeczywistości ci faceci, którzy zaklikają na Badoo, Sympatii czy Tinderze? Zdarzył mi się przypadek chłopca, który na moje pełne irytacji pytanie „Dlaczego patrzysz w stół, a nie na mnie?", odpowiedział: „Bo mnie onieśmielasz". Ale pojawił się też mężczyzna, który bez żadnego skrępowania na pierwszej randce opowiadał o swoim dziecku z poprzedniego związku czy problemach z rodzicami. W większości jednak są to normalni faceci, tacy jak wasi koledzy ze studiów, współpracownicy czy sąsiedzi. Z którymi rozmowa całkiem się klei, tematów nawet nie brakuje, niezręczna cisza pojawia się rzadko. A z każdym kolejnym spotkaniem śmiejecie się częściej i zadajecie mniej pytań, bo dyskusja płynie sama.

POMYŁKA STWÓRCY

Nie będę jednak oszukiwać. Największym minusem portali randkowych jest wygląd kandydata na naszego chłopaka. Na profilowych zdjęciach prezentuje się o niebo lepiej niż w rzeczywistości, lekko przekłamane zostały tam parametry typu waga czy wzrost. W internecie jest wyższy i ma lepszą figurę, jego włosy są bardziej brązowe niż rude, wypryski na chwilę zniknęły, nie ma okularów z poprzedniego stulecia, a jego podkoszulek nie jest brudny od zjedzonego wcześniej kebabu. Wykreowany w twojej głowie na podstawie paru wyfotoszopowanych zdjęć wizerunek chłopaka zderza się w realu ze smutną prawdą. Czekasz wtedy w umówionym miejscu, a na jego widok szepczesz cicho: „Boże, żeby to nie był on".

Nie trzeba się zrażać. Jest parę sposobów, by marzenia o przystojniaku nie roztrzaskały się o płytę rynku. Można zaprosić go wcześniej do znajomych na Facebooku – dzięki temu zyskasz dostęp do zdjęć w naturalnym środowisku i naturalnych pozach, a nie tych wymuskanych fotek w randkowym serwisie. Przed spotkaniem dobrze jest też umówić się na skype'ową pogawędkę – bez wychodzenia z domu sprawdzisz nie tylko, czy ma wszyst-

kie zęby, ale także czy posiada poczucie humoru. Przede wszystkim jednak nie warto odkładać prawdziwej randki zbyt długo. Nie ma nic gorszego niż rozczarowanie po wielu miesiącach korespondencji. Szkoda czasu, energii i zaangażowania. Oczywiście WYGLĄD NIE JEST NAJWAŻNIEJSZY. Ale jeśli na Sympatię wchodzi każdego miesiąca ponad pół miliona facetów, to dlaczego ty akurat masz umawiać się z paszczakiem?

NIE TYLKO KAWA?

Ok, a co z tym seksem? Otóż nic. A przynajmniej nic nadzwyczajnego. Jeśli w sieci szukasz seksu, znajdziesz go bez problemu – na Tinderze roi się od obcokrajowców, piszących w pierwszej wiadomości: „do u wanna sex?". Jednak na tym samym Tinderze był też chłopak, który mojej koleżance powiedział, że jest „za szybka", bo na trzeciej randce… chwyciła go za rękę. Sama byłam kiedyś na spotkaniu w niedzielę o 14:00, bo na propozycję umówienia się w godzinach wieczornych mój towarzysz odpowiedział, że nie chce krępować mnie późną porą. Nie ma więc się czego bać, jeśli będziesz przestrzegała standardowych zasad, to nikt nie rzuci się na ciebie na pierwszej randce. Na wszelki wypadek przypomnę: na początku spotykaj się w miejscach publicznych, nie podawaj swojego adresu i nie wsiadaj za szybko do nieswojego samochodu.

Nie daj się namówić na nic, czego byś nie chciała, ale jeśli chcesz się trochę rozerwać, to portale randkowe są idealnym miejscem do znalezienia partnera łóżkowych igraszek. W większości serwisów możesz zaznaczyć opcję, że interesuje cię tylko przygoda, a na Zaadpotuj Faceta ustawić swoje preferencje seksualne. Jest też mnóstwo stron (np. Erodate.pl), gdzie na 100% chodzi tylko o jedno. Choć kto wie, może z tej zabawy będzie coś więcej?

GDZIE KUPIDYN SIĘ TOBĄ ZAINTERESUJE?

Zbiór portali randkowych wydaje się nieskończony, a istniejące już ciągle się mnożą. Na wielu z nich dostęp do pełnych możliwości serwisu jest płatny, dlatego nie warto zakładać zbyt wielu kont. Zresztą za duża ilość profili powoduje niepotrzebne zamieszanie w twojej głowie i internetowej przeglądarce. Gdzie więc się zarejestrować? Największym i najpopularniejszym portalem w Polsce jest trzynastoletnia już Sympatia, która ma też swoją odmianę dla osób po 35. roku życia – SympatiaPlus. Tam szanse na znalezienia partnera są teoretycznie największe. Podobno największą skutecznością cieszy się eDarling. Założenie profilu w serwisie jest nużące (trzeba odpowiedzieć na mnóstwo pytań), bez przelania pieniędzy nie można nawet odczytać wiadomości, ale za to użytkownicy portalu są zdeterminowani do znalezienia drugiej połówki. Serio, znam dwa małżeństwa, które poznały się właśnie tam.

Ciągle popularne jest jeszcze Badoo, gdzie jest luźniej niż na Sympatii i eDarling, a także można czatować do woli bez wykupywania abonamentu. Najwięcej dystansu oraz humoru znajdziemy natomiast na ZaadpotujFaceta.pl – to prawdziwy raj dla zakupoholiczek. Serwis wygląda jak internetowy sklep, a do „koszyka" wrzucamy tego faceta, który akurat nam się spodoba: „pana złota rączka", „kucharza, schodzącego jak świeże bułeczki" albo „wytatuowanego ze świeżej dostawy". „Produkt" można też zarezerwować, dzięki czemu żadna dziewczyna nie sprzątnie nam sprzed nosa wybranego modelu.

Hitem ostatniego roku jest wspomniany wcześniej Tinder. Aplikacja swoją prostotą podbiła serca właścicieli smartfonów. Zasady są proste: pojawia się zdjęcie obiektu, jeśli ci się spodobał – przesuwasz kciukiem w prawo, jeśli nie – w lewo. Jeśli i obiekt na widok twojej fotki zareagował ruchem w prawo, macie „match" i od tej pory możecie do siebie pisać, umawiać się na randki i robić, co dusza zapragnie. Aplikacja jest tak popularna, że niedawno powstała jej kopia, Tindog, przeznaczona dla właścicieli psów.

Jeśli nie chce ci się przebierać wśród wielu użytkowników, skorzystaj z portalu skierowanego do zawężonej grupy ludzi. Chcesz, żeby twój przyszły chłopak jeździł z tobą na rowerze, pływał albo wspinał się na ściance? Poszukaj go na SportRandka.pl. Jesteś puszysta i wolałabyś, żeby twój partner także był troszkę większy? Spróbuj na DużaRandka.pl. Wyemigrowałaś na Wyspy albo do Chicago, ale marzy ci się polski chłop? Proszę: PolskieSerca.pl. Samotnie wychowujesz dziecko? ZakochanyRodzic.pl. Jesteś „człowiekiem z wartościami" (czyt. katolikiem)? Przeznaczeni.pl. Nie masz potrzeby uprawiania seksu? Asportal.pl. Nazwy serwisów można wymieniać jeszcze długo. Zresztą i tak w Polsce twórcy portali nie są jeszcze tak kreatywni jak w USA, gdzie można było znaleźć: „kogoś, kto choruje na to samo", albo „latarnię morską na oceanie miłości" (strona dla marynarzy).

Randkowanie w sieci to już norma i trzeba to zaakceptować. Nikt nie widzi niczego dziwnego w internetowej bankowości, wirtualnych zakupach czy graniu w pokera. I nie ma też niczego niezwykłego w szukaniu miłości na portalach i w aplikacjach. Tak jak wszystkie inne aspekty naszego życia, także zawieranie nowych znajomości ze świata realnego przenosi się do wirtualnego. Zamiast kilku znajomych z pracy (z których połowa jest zajęta, a połowa niezainteresowana kobietami), mamy do wyboru mężczyzn z dowolnego miejsca, o dowolnych zainteresowaniach. Portale randkowe to naprawdę wielki supermarket, pełen najróżniejszych batonów – z orzeszkami, z kokosem, karmelem itd. Ruszaj więc na degustację: uważaj, by cię nie zemdliło, ale zjedz tyle, byś nie miała niedosytu. W końcu znajdziesz smak, który cię zachwyci.

DAGMARA MARCINEK

Absolwentka dziennikarstwa i filmoznawstwa na UJ. Kocha kicz i popkulturę, dlatego Madonna zawsze będzie jej numerem jeden. O nowych mediach pisze na misswaldorf.pl, a o wszystkim pozostałym na twitterze @_miss_waldorf_.

MONIKA SOJKA

Studentka V roku grafiki warsztatowej na ASP w Katowicach. Z myślą o karierze operowej uczestniczyła raz w profesjonalnej lekcji śpiewu. Poza tym jest przekonana, że gdyby nie studiowała sztuki, byłaby ornitologiem. Naprawdę.

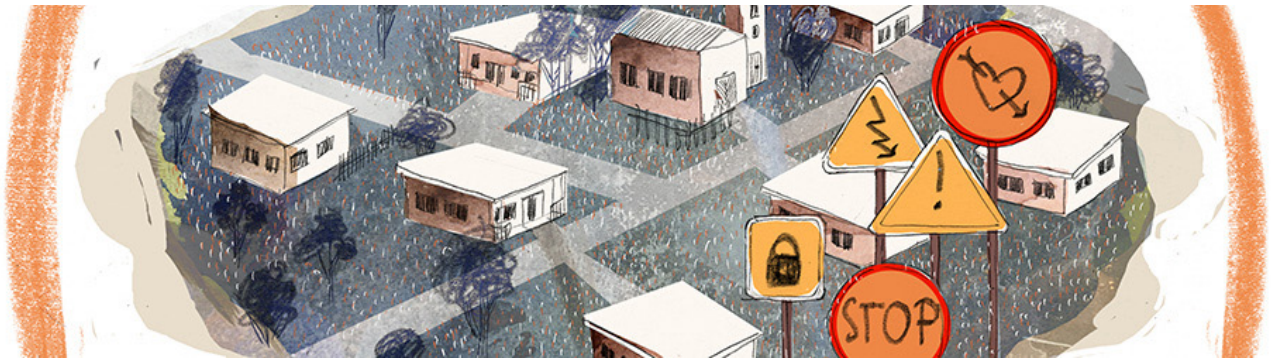

KOLONIA ZA ZŁĄ MIŁOŚĆ

AGATA WIECZOROWSKA | BEATA ŻURAWSKA

Lato. Zapach rozgrzanego asfaltu w powietrzu. Drzewa rzucają groteskowo długie cienie na ściany jednopiętrowych domów. Białe, à la wiklinowe krzesła stoją w równym półkolu na ganku. Na stoliku leży sfatygowana Biblia, pełna mądrych cytatów i oślich uszu.

W tle ktoś kozłuje piłką po boisku. Piłka podrywa się w górę, trafia w kosz, wpada w poślizg na obręczy, wreszcie trafia do środka. Odbija się o ziemię. Raz, drugi. Jeszcze kilka razy. Cisza. Jesteśmy na karnej kolonii seksualnej – Miracle Park na Florydzie.

Ludzie mieszkają tutaj spokojnie, odmierzając dzień od wschodu do zachodu słońca, od serdecznego sąsiedzkiego „dzień dobry" po „dobranoc". Miracle Park zamieszkują tzw. przestępcy seksualni w różnym wieku, z wyłączeniem pedofili i osób agresywnych. Osoby te już odsiedziały swój wyrok w więzieniu i Miracle Village jest dla nich miejscem odosobnienia.

Na Florydzie prawo dotyczące przestępstw na tle seksualnym jest restrykcyjne. Kolonię zamieszkują przykładowo mężczyźni, którzy ściągnęli z sieci pornografię dziecięcą, niektórzy rzekomo przez przypadek. Inni trafili tu za molestowanie sióstr i kuzynek. Kilku mieszkańców skarży się, że dostali wyrok za spotykanie się z nieletnimi dziewczynami, raptem dwa lata młodszymi od nich samych. Ktoś inny opowiada, że skazano go za obnażenie się w miejscu publicznym.

Ile ludzi, tyle historii. Wszystkie łączy podtekst seksualny i Floryda. Zgodnie z tutejszym kodeksem karnym przestępcy seksualni nie mogą zamieszkiwać w pobliżu szkół, biurowców, parków i innych miejsc użyteczności publicznej. Dlatego Miracle Village powstało w miejscu oddalonym od reszty cywilizacji. Dlatego też żaden z mieszkańców Miracle Village nie będzie mógł wrócić do normalnego życia.

Założyciel osady, Richard Witherow, sam o mało nie zo-

stał skazany za gwałt, kiedy jego czternastoletnia dziewczyna zaszła w ciążę. Udało mu się wyjść cało z procesu i dostać pozwolenie na ślub. Z czasem został pastorem i postanowił stworzyć miejsce godnego odosobnienia dla rzekomych i prawdziwych przestępców seksualnych.

Miracle Park dawniej zamieszkane było przez pracowników plantacji trzciny cukrowej i nosiło nazwę Pelican Lake Village. Ówcześni mieszkańcy zostali przesiedleni z tego terenu, żeby ustąpić miejsca obecnym pensjonariuszom. Dziś kolonię zamieszkuje przeszło 100 osób, głównie mężczyzn. Zajmują się drobnymi naprawami w pobliskich miejscowościach, wspólnym czytaniem Biblii, graniem w koszykówkę.

Jak dotąd w kolonii nie miało miejsce żadne przestępstwo na tle seksualnym.

Sofia Valiente, dwudziestoczteroletnia fotograf, na trzy miesiące osiedliła się w Miracle Park. Poznawała tutejszych mieszkańców, ich historie i codzienną rutynę. Liczba zdjęć systematycznie rosła. W końcu Valiente swoim cyklem fotograficznym z kolonii wygrała World Press Photo 2015. Autorka opowiada, że chciała przede wszystkim pokazać grupę ludzi poddaną stygmatyzacji społecznej. Jej celem, jak podkreśla, nie jest oskarżanie ani usprawiedliwianie pensjonariuszy, tylko bezstronne, o ile to możliwe, przedstawienie ich codzienności. Bowiem w Miracle Village mogą cieszyć się względną godnością i autonomią, podczas gdy w społecznościach, z których się wywodzą, byliby wyrzutkami, traktowano by ich jak trędowatych.

Kończę przeglądać wyimki z pozornej normalności

w Miracle Park, które uwieczniła w swoich kadrach Valiente. Starszy pan z brzuchem wciśniętym w przymały podkoszulek z flagą Stanów Zjednoczonych zapala papierosa. Pewnie drżą mu ręce, czoło marszczy się w skupieniu. Nad staruszkiem wisi vintage'owy portret psa. Ściana w tle ma niezdrowy łososiowo-morelowy odcień. Odbija się w obiektywie i wygląda na pomalowaną tanią, lichą farbą.

Na innym zdjęciu zrezygnowany albo po prostu zmęczony upałem mężczyzna po trzydziestce leży na łóżku i wpatruje się w postawioną obok masywną sztangę, z której trochę jak zbłąkany pajączek zwisa malutki krzyżyk. Na ścianie wisi kiepski landszaft przedstawiający plażę z palmami. Na okno nasunięta jest bordowa, wygnieciona zasłonka, przywodząca na myśl te w polskich pociągach PKP.

Dopijam wieczorną herbatę i zastanawiam się, czy może każdy powinien zasługiwać na drugą szansę.

AGATA WIECZOROWSKA
Filolog języków obcych (angielski) i bardzo obcych (portugalski i rumuński). Pochodzi z Zielonych Płuc Polski. Na studia przeprowadziła się w krakowskie smogi. Tutaj pracuje, pisze i oddycha. Pracuje w korporacji, chociaż bez przekonania. W wolnym czasie czyta Muminki i prowadzi bloga : makulaturaodkrola.wordpress.com

BEATA ŻURAWSKA
Absolwentka Wydziału Artystycznego UMCS w Lublinie. Laureatka wielu nagród i wyróżnień za ilustracje i komiksy. Na co dzień zajmuje się ilustracją i projektowaniem graficznym.

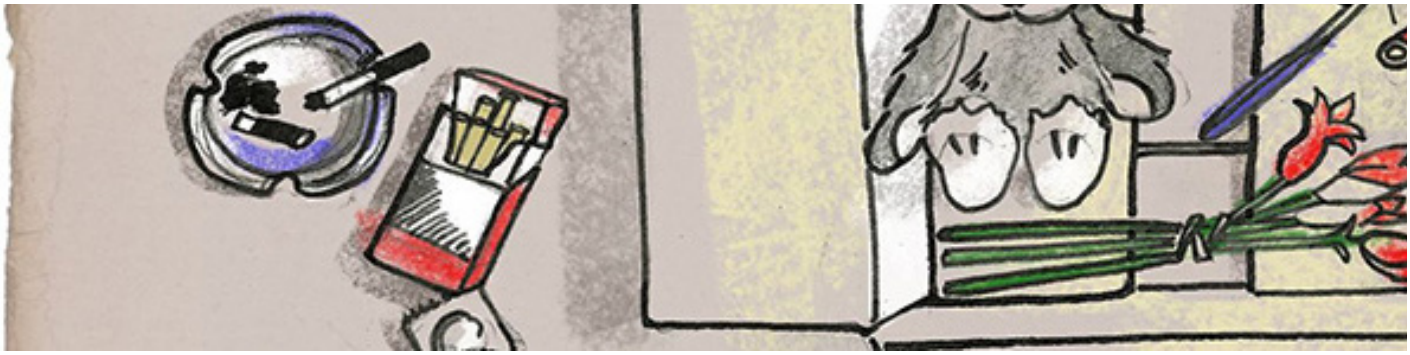

SKUTECZNE LEKARSTWO NA ZŁAMANE SERCE

ALEKSANDRA KWIATKOWSKA | AGATA TRYBUS

Nie zawsze łatwo jest nam pogodzić się z utratą, osoby, którą kochamy ponad życie. Museum of Broken Relationships jest miejscem, które łączy ze sobą sztukę i osobiste uczucia zwykłych ludzi.

Być może przeżywasz załamanie nerwowe z powodu złamanego serca albo właśnie rzucił cię chłopak? Wielu psychologów porównuje stan zakochania do narkotycznego haju. Wytwarza się w naszym ciele zwiększona ilość endorfin, a co za tym idzie – czujemy się bardziej szczęśliwi. Po rozstaniu jest się jak narkoman na głodzie. Odczuwamy wzmożoną miłość do byłego i nagle sens życia zanika. Niestety pogrążanie się w rozpaczy niczego nie wniesie do naszego życia i nie sprawi, że ukochana osoba do nas wróci. Za to możemy wyciągnąć z nieudanego związku wiele wniosków i uczyć się na błędach. Możemy więcej czasu poświęcać na własne przyjemności i potrzeby. Możemy też odwiedzić Museum of Broken Relationships w Zagrzebie i szybciej uleczyć złamane serce.

Museum of Broken Relationships początkowo była to wędrowna ekspozycja, która swoje stałe miejsce znalazła w 2010 roku w Zagrzebie, a już rok później została uhonorowana przez Europejskie Forum Muzealne nagrodą

> PO ROZSTANIU JEST SIĘ JAK NARKOMAN NA GŁODZIE

Kennetha Hudsona ze względu na niecodzienność pomysłu. W skład wystawy wchodzą bowiem ofiarowane przez różnych darczyńców pamiątki po nieudanych związkach. U podłoża idei muzeum również leży zresztą rozstanie. Olinka Vištica i Dražen Grubasič, dawniej stanowiący

parę, postanowili ponownie się zjednać, lecz tym razem w nietuzinkowym projekcie muzeum rozstań. Jednym z pierwszych rekwizytów był biały nakręcany zajączek – pamiątka po rozstaniu twórców muzeum. Początkowo eksponaty gromadzili tylko wśród znajomych, lecz po utworzeniu wędrującej wystawy zaczęli zbierać po drodze coraz to większą ilość przedmiotów. Wystawy oglądać można było m.in w Argentynie, Bośni i Hercegowinie, Niemczech, Macedonii, Serbii, Słowenii, Singapurze, RPA, Turcji, Wielkiej Brytanii, USA i na Filipinach, więc ekspozycja szybko się wzbogaciła.

Dla zwiedzających muzeum może działać jako pewien rodzaj przestrogi: nic nie trwa wiecznie i nie zawsze szalona miłość będzie żyła „aż po grób". Z założenia muzeum pełni jednak formę terapeutyczną dla tych, którzy decydują się przekazać historie swojej nieszczęśliwej miłości innym. W ten sposób przepracowują swój ból. W przeciwieństwie do tradycyjnych metod radzenia sobie ze złamanym sercem chorwackie muzeum oferuje nam pomoc poprzez kreowanie wystawy i dzielenie się historiami porzuconych oraz przedmiotami kojarzącymi się nam z miłością i rozstaniem. W ten sposób inspiruje nas do osobistego poszukiwania jakiegoś głębszego sensu i wzmacnia naszą wiarę w coś bardziej znaczącego niż cierpienie. Kreatorem wystawianych eksponatów może być każdy z nas. Czymkolwiek się kierujemy, dając przedmioty na wystawę – pragnieniem poczucia ulgi czy czystą ciekawością – pewne jest, że przystępujemy do pewnego rodzaju rytuału, a nawet ceremonii. Chodzi tu o celebrowanie rozstania. Bez wątpienia pozbycie się dowodów nieszczęśliwej miłości to spory krok w stronę zapomnie-

> **ZOSTAŁY MI INSTRUKCJE, JAK POSTĘPOWAĆ, KIEDY SAMOLOT ZACZNIE SIĘ ROZPADAĆ, SZKODA, ŻE NIE ZNALAZŁAM INSTRUKCJI, GDY ZACZNIE ROZPADAĆ SIĘ ZWIĄZEK**

nia i pewnego ukojenia. Oddawanie swoich pamiątek do muzeum na wiele osób działa terapeutycznie i przynosi ulgę w skrajnych emocjach. Bo choć jest wiele ceremonii, śluby, pogrzeby itd., nie ma żadnej, która by świętowała nieudany związek, mimo że rozstanie jest silnie nacechowane emocjonalnie i nierzadko odciska trwałe piętno na psychice. Te wewnętrzne rany w Zagrzebiu krystalizują się w muzealnych gablotach.

Każdy z ponad 1000 przedmiotów eksponowanych w muzeum ma swoją historię. Na wystawie możemy zobaczyć praktycznie wszystko, co było związane z zawodem miłosnym. Od walentynkowych misiów i telefonów komórkowych aż do przyrządów takich jak... siekiera. Bogata ekspozycja zawsze wzbogacona jest o krótkie komentarze osób zranionych. Historie o latających ogrodowych krasnoludkach, pociętych meblach czy niewykorzystanych sukniach ślubnych nie są czymś nadzwyczajnym w tym miejscu. Zadziwiające jest to, w jaki sposób zwykłe przedmioty, z którymi mamy do czynienia na co dzień, zmieniają nasze patrzenie na konkretną rzecz, kiedy poznajemy przyczynę, dla jakiej znalazła się w tym muzeum.

I tak kolekcja torebek do wymiotowania z każdej podróży jest pamiątką romansu na odległość, której towarzyszy komentarz: „Zostały mi instrukcje, jak postępować, kiedy samolot zacznie się rozpadać, szkoda, że nie znalazłam instrukcji, gdy zacznie rozpadać się związek". Dzielący zakochanych dystans jest częstą przyczyną rozstań. Dowodem na to jest również zegar ustawiony dziewięć godzin do przodu: „Ja byłam w Europie, on w Kalifornii. Kalkulowałam wszystko zgodnie z jego sferą czasową. Przez prawie rok mieliśmy kontakt codziennie. Zerwaliśmy przez Skype...". Co ciekawe, zdecydowana większość internautów uważa, że jednym z najgorszych sposobów zakończenia związku są właśnie portale społecznościowe, w tym też Skype. Codzienne rozmowy telefoniczne to niemalże nałóg każdej świeżo upieczonej pary. Lecz co zrobić, gdy była partnerka zamęcza nas rozpaczliwymi wiadomościami i dzwonieniem w środku nocy? Oddać telefon. W przestrzeni wystawienniczej muzeum możemy znaleźć telefon firmy Nokia nadesłany został przez zrozpaczoną dziewczynę, która dostała go z prośbą, by więcej nie dzwoniła. Tym podobnych rekwizytów jest znacznie więcej. Klucze do mieszkania oddane, żeby uniknąć pokusy pojawienia się na progu byłego z awanturą. Korkociąg do wina w kształcie serca od chłopaka, który zapewniał o swojej miłości, lecz nie chciał pójść do łóżka. Wkrótce po zerwaniu zmarł na AIDS.

Najbardziej kontrowersyjna jest pochodząca z Berlina siekiera. Zostały porąbane nią wszystkie meble kochanki, która porzuciła właściciela siekiery dla kobiety i wyjechała z nią na wakacje. Codziennie jeden mebel szedł pod ostrze. Gdy zdrajczyni przyjechała odebrać meble, czekała na nią cała sterta pociętego drewna.

W jednej z sal wystawienniczych czytamy: „Nigdy ich nie nosiłam. Może to był błąd? Gdybym to zrobiła, ten związek potrwałby dłużej". Jest to krótki komentarz nadający nowy sens zwykłym pończochom.

Wśród eksponatów można tez znaleźć protezę nogi. Pewien kombatant zakochał się w rehabilitantce, ale jak napisał właściciel: proteza była trwalsza od związku.

Najbardziej wzrusza list miłosny 13-latka. Pisze on do dziewczyny, którą poznał podczas konwoju, gdy ich rodziny uciekały z oblężonego Sarajewa. Znał ja trzy dni. Niestety nie zdążył dać listu. Po trzech dniach puszczono ich wolno i samochód z jego dziewczyną odjechał. Jest to również jeden z ulubionych eksponatów Olinki.

W magazynach muzeum znajduje się też jeden polski rekwizyt. Suknia po mamie wysłana przez zrozpaczoną jej odejściem córkę.

Muzeum of Broken Relationships to nie tylko sentymentalne przedmioty, ale i gadżety, które można kupić. Ołówek antystresowy z napisem „W razie złości złam na pół", gumka wycierająca złe wspomnienia, magnes z sentencjami czy T-shirt z grafiką obrazującą potłuczone szkło. Tym, którzy w sferze uczuciowej nie za bardzo mają szczęście lub którzy po prostu utracili swoją pewność siebie, proponowany jest plakat „Jesteś perfekcyjny!" z dopiskiem: „...tylko wybrałeś zły czas".

Muzeum cały czas zwiększa liczbę swoich eksponatów i jest ciągle otwarte na nowe zbiory. Wystarczy tylko zatytułować wysłany przedmiot, dokładnie opisać historię z nim związaną, podać czas trwania związku oraz kraj i miasto zamieszkania.

Każdy z nas przeżywa mniejsze lub większe zawody miłosne. Nie zawsze łatwo jest nam pogodzić się z utratą osoby, którą kochamy ponad życie. Museum of Broken Relationships jest miejscem, które nie tylko łączy ze sobą sztukę i osobiste uczucia zwykłych ludzi. Przede wszystkim jest lekarstwem dla złamanego serca, formą pozbycia się wszelkich wspomnień. Jest rodzajem rytuału, który pozwala na odreagowanie własnych przeżyć. Upublicznianie pamiątek po swoich nierzadko dramatycznych przeżyciach pomaga w dystansowaniu się, oswojeniu problemów i załagodzeniu niemiłych wspomnień. Museum of Broken Relationships daje ulgę. A z nią i nadzieję na nową, lepszą i prawdziwą miłość „na wieki".

ALEKSANDRA KWIATKOWSKA
Absolwentka Liceum Plastycznego w Bydgoszczy. Obecnie studentka III roku Krytyki Sztuki na wydziale Edukacji Artystycznej na UAP w Poznaniu. Liczne publikacje w bydgoskiej Gazecie Wyborczej. Autorka bloga www.miszmaszsztuka.blogspot.com

AGATA TRYBUS
Magister form przemysłowych, studentka architektury wnętrz. Projektantka, z zamiłowania instruktorka fitness i zumby.

PO ŚLUBIE I RANDKUJĘ, CZYLI O POLIAMORII I ŚWIATOWYM POKOJU

ALEKSANDRA GRZEBALSKA | MAGDALENA MARCINKOWSKA

Mój ostatni zaangażowany związek romantyczny zakończył się, bo kochałam o jednego za dużo. Serce kochliwe i niezaspokojone pragnienia zabrały mnie więc w długą podróż po różnych światach społecznych konwencji. Niedaleko przyszło mi szukać, gdy na swoim progu, żyjąc jeszcze w Londynie, po raz pierwszy natknęłam się na ideę i praktykę poliamorii…

W mojej podróży obija mi się o uszy poliamoria, tu i tam, głównie w alternatywnych kręgach. Kocham się z żonatym lekarzem z Niemiec – za przyzwoleniem żony. Zahaczam gdzieś w internecie o reality show z Ameryki, nazywa się *Married and Dating* („Po ślubie i randkuje"). Kocham się z żonatym rabinem – za przyzwoleniem żony. Na praktyce w Wellington pracodawca, konwencjonalnie wyglądający Cypryjczyk w średnim wieku, przedstawia mi swojego kolegę: „To jest John, żonaty i do tego ma chłopaka!". Mówi to z zadowoleniem, że chłopak jest tym, kim chce być, i robi to, co chce robić.

Poliamoria w bezpośrednim tłumaczeniu to „wielomiłość", czyli kochanie więcej niż jednej osoby. Nie jest to poligamia, która kojarzy się nie najlepiej, bo sugeruje jednostronność układu, a nawet brak zgody czy wiedzy jednej ze stron. Poliamoria to serce otwarte na wiele miłości i miłostek bez wstydu, strachu i całej brzydoty ukrywania.

Na takie układy decyduje się coraz więcej osób. Zyskują też częściej społeczną akceptację. Kilka miesięcy temu usłyszałam w mainstreamowym nowozelandzkim radiu wywiad z mężatką, która ma też dziewczynę, jej mąż również ma dziewczynę, która z kolei ma męża. W audycji rozmawiają o sprawach praktycznych, jak na przykład o tym, czy mają kalendarz z rozkładem randkowania. Tak, mają, wisi na lodówce. Rozmówczyni podkreśla, że komunikacja w ich związku jest najważniejsza.

Komunikować trzeba o swoich emocjach, granicach i pragnieniach, czyli o tym wszystkim, o czym komuniku-

jemy się mało nawet w intymnym związku. Brakuje nam języka i narzędzi do rozmów o „tych" sprawach.

Zgoda albo raczej przyzwolenie wszystkich zaangażowanych, szczerość i przejrzystość są podwalinami poliamorii. Nie ma ona jednego schematu. Są tacy, którzy mają wielu kochanków, i tacy, którzy praktykują tylko przez szczere rozmowy z partnerem o swoich ciągotach, albo tacy, co się gdzieś w pół drogi pełnej otwartości fizycznej spotykają z „trzecimi" partnerami.

CO MA WSPÓLNEGO POLIAMORIA Z POKOJEM NA ŚWIECIE? WSZYSTKO!

Poliamoria nie jest dla trwożliwych. Strach przed związkami otwartymi jest duży. Boimy się przede wszystkim dlatego, że nasz instynkt samozachowawczy wyje na alarm, jak tylko pomyślimy, że nasza ukochana osoba mogłaby z kimś innym… porozmawiać. Taki strach nazywamy zazdrością, pod którą kryje się obawa przed utratą. Niektórzy boją się stracić swoją dumę czy status związany z partnerstwem, inni najzwyczajniej boją się, że luba osoba zniknie nagle z ich życia.

Prawda jest taka, że zdradzać każdy umie i … każdy zdradza! Chcesz się wypierać? A czy nie zdradą będzie spojrzenie na inną pupę, fantazja o innym podbródku, ekscytacja innym zapachem na ulicy, zerknięcie ukradkiem na gołe ciało? Odpowiedź na to pytanie zależy tylko od tego, na jaki układ umówiliśmy się z partnerem, a ponieważ do takich rozmów rzadko dochodzi, najczęściej kończy się na ślepym podążaniu za fałszującymi nasze autentyczne odruchy normami społecznymi. Czyli patrzeć i fantazjować w tajemnicy może i można, ale podejmować działania w kierunku spełnienia fantazji już nie.

W niektórych krajach nawet spojrzenie to zdrada, dlatego kobiety chodzą całkiem zakryte. W innych kulturach rozmowa prywatna z osobnikiem przeciwnej płci jest nieakceptowana, uściski dłoni, całusy… Jak daleko społecznie jesteśmy powstrzymywani przed poznawaniem i kochaniem kolejnej osoby? Czy nie jesteśmy ciągle jak Romeo i Julia, niedopuszczeni do miłości, bo nie wolno, nie wypada i nie do pomyślenia? Poza nielicznymi jednostkami silnie ugruntowanymi w swoim „ja", które podążają za własnym instynktem, większość z nas działania podejmuje w wąskich ramach uwarunkowań i konwencji społeczno-kulturowych. Uniemożliwia się nam – i uniemożliwiamy sami sobie – zaspakajanie jednej z kluczowych potrzeb człowieka: potrzeby różnorodności.

Dlatego też by przełamać działania, które nam nie służą (gdyż nie są zgodne z pragnieniami naszej duszy), potrzebujemy wsparcia w postaci nowych społecznych norm, przyzwoleń i modeli do naśladowania. Etyczna praktyka poliamorii redefiniuje społeczne układy i zmusza do spojrzenia na sprawy, które ponieważ bolesne, trudne bądź tabuizowane, są ignorowane lub zagłuszane. Stąd też poliamoria to rozwiązanie na pokój na świecie…

Co ma wspólnego poliamoria z pokojem na świecie? Wszystko! Do jej uprawiania przede wszystkim potrzeba komunikacji, dobrej woli, szczerości, szczodrości, przyzwolenia i zmierzenia się ze swoim cieniem (niekiedy bardzo ciemnym!); wyjaśnienia spraw, które ciążą, a zatem i rozwiązania kluczowych konfliktów współistnienia.

W lato 2014 odwiedziłam centrum badań nad pokojem Tamera w Portugalii. Badania dotyczą interakcji międzyludzkich i życia w niewielkiej społeczności. Jeżeli dogłębnie bada się relacje interpersonalne, to także i Erosa. W Tamerze większość mieszkańców ma stałego partnera i do tego kilka długotrwałych erotycznych przyjaźni – poliamoria.

Konflikty są tam wykładane na stół – także dosłownie, bo w Tamerze cała społeczność spotyka się kilka razy w tygodniu, aby odbyć forum, w czasie którego wszyscy siedzą w kręgu symbolizującym równy status. Do centrum może wejść każdy, „odgrywając" jakąkolwiek palącą sprawę: problem, celebrację, konflikt, emocję, strach, gniew, zazdrość itd. Następnie inni oferują się jako „lustra" i odgrywają z kolei to, co oni spostrzegli w danej osobie. Jest to metoda nie tylko na ekstremalną społeczność ciową przejrzystość, ale również na przyspieszoną lekcję samopoznania i budowania zdrowych społecznych więzi opartych na zaufaniu i szczerości.

Kiedy w Tamerze Palestynka kocha się z Izraelczykiem, a ich romans i miłość wspiera cała grupa, czyni się pokój na skalę światową. Mówią o tym, co boli, dają miejsce na żal w społecznej świadomości, na żal i na celebrację nowych możliwości zgodnych relacji dwojga ludzi, którzy reprezentują całe pokolenia współżycia w konflikcie. W Tamerze mówi się o w o l n e j miłości, którą najlepiej definiuje Dieter Duhm – założyciel centrum, pisarz i społeczny badacz – jako „miłości wolnej od strachu".

Wolnej od strachu przed: utratą, zazdrością, społecznym zlinczowaniem, byciem ocenionym negatywnie, straceniem swojego „dobrego" wizerunku, zranieniem drugiej osoby itd., itp. Prawda jest taka, że korzenie strachu sięgają samego dna duszy. Co się wydarzy, kiedy damy sobie przyzwolenie na otwarcie skrzynki Pandory ze swoimi wszystkimi pragnieniami i fantazjami? Poliamoria daje możliwość pełnej eksploracji tego niezrozumianego świata magii serca i intymnego współegzystowania.

Kiedy wspominam o Tamerze, o poliamorii czy o środowiskach, które ją praktykują, często wychodzi w słuchaczu strach przed byciem zmuszonym i naciskanym do praktykowania, kiedy ich serce należy do jednej osoby. Sugeruję, że to tylko zasłona dla ich strachu, no bo kto kogo może do kochania zmusić? Strach przed poliamorią to strach przed zmierzeniem się twarzą w twarz ze swoimi własnymi potworami (frustracją, pożądaniem, gniewem, terrorem, agresją), a nie strach przed byciem zmuszonym do kochania się z ropuchą.

Co się stanie, kiedy usłyszymy, że nie jesteśmy tymi jedynymi wybrankami życia naszego partnera? Zmuszeni jesteśmy do skonfrontowania się z faktem, że nie ma dla nas drugiej połowy w postaci drugiego człowieka. Odnalezienie „drugiej połówki" to odnalezienie miłości w sobie i z kimkolwiek nie będziemy dzielić naszej podróży życia, możemy uwolnić się od iluzji o tej osobie jako źródle naszego spełnienia.

Pytam jednego z moich kochanków: „Masz taką piękną, niesamowitą żonę, boginię – dlaczego chcesz teraz być ze mną, a nie z nią w sypialni obok?". On na to odpowiada z cierpliwością (od 10 lat praktykują poliamorię w swoim związku): „To tak jak z jedzeniem. Tylko dlatego, że lubię włoskie, nie znaczy, że codziennie chcę jeść włoskie na kolację. Chętnie spróbuję chińszczyzny, azjatyckich i europejskich kuchni. A polska kuchnia jest wspaniała!".

Wiem, że moje pytanie wynika z braku pewności siebie i dlatego, że mój umysł funkcjonuję jeszcze w patriarchalnym paradygmacie, w którym tylko jedna osoba wygrywa. Nie jest łatwo być tą „drugą" kobietą i utrzymać poczucie własnej wartości. Dlatego w całej tej sytuacji najtrudniej było podejść do jego żony i porozmawiać z nią szczerze o tym, co nas boli i co nam sprawia trudność w naszym „trójkącie" (relację intymną miałam z jej mężem, ale emocjonalną również i z nią).

Nabrawszy odwagi, podeszłam do niej, bo wyjścia innego nie było, serce bolało od kilku dni wewnętrznej rozterki. Okazało się, że moja więź z jej mężem była dla niej także trudna, bardzo trudna. Dla mnie tak ciężko było czuć się równie piękną jak ona i nie stać w jej cieniu, a świecić moim unikatowym światłem, kiedy ona świeci swoim. Dla niej ciężko było, bo potrzebowała więcej uwagi swojego męża w tym czasie. Mówi mi o tym, jak w optymalnym świecie praktyki poliamorii i dla wskrzeszenia pozytywnych więzi między kobietami trze-

CO SIĘ STANIE, KIEDY USŁYSZYMY, ŻE NIE JESTEŚMY TYMI JEDYNYMI WYBRANKAMI ŻYCIA NASZEGO PARTNERA?

ba szukać kontaktu i komunikacji z żoną przed zaangażowaniem się w intymną sytuację z mężem. Pomimo tego, że ich związek jest zupełnie otwarty, między nami było sporo do powiedzenia sobie i wybaczenia.

Ulepszona komunikacja międzyludzka to tylko jeden wymiar tego, jak poliamoria wyzwala od konfliktów i promuje uleczenie ran społecznych. Wyzwala w nas ona bestię zamkniętą w pasie cnoty i siejącą spustoszenie z frustracji. W aktualnych kanonach moralnych i niskiej kulturze komunikowania nasza bestia (zwierzęca natura) zamiast się kochać, robi bałagan. Znany slogan *Make Love Not War* (ang. „Uprawiaj miłość, nie wojnę") jest jak najbardziej adekwatny. Uwolnienie energii Erosa i danie sobie przyzwolenia na kochanie i kochanie się to otwarcie się na prawdziwą naturę człowieka, czyli życie w raju na ziemi, ale o tym już innym razem…

Główna lekcja z Tamery, jest taka, że jeżeli chcemy praktykować poliamorię w sposób, który jest w pełni „zdrowy", potrzebujemy grupy wsparcia, grupy akceptującej kulturę i etykę poliamorii – kontener społecznego przyzwolenia. Dlatego nie namawiam tutaj do przejścia nagle z monogamii do poliamorii. Przede wszystkim nie mamy do tego społecznych warunków. Takie warunki oczywiście można sobie stworzyć z grupą otwartych ludzi gotowych do eksploracji swoich dusz i dzielenia się na poziomie emocji z innymi. Nie jest to jednak szybkie zadanie na jeden wieczór.

Próbuję tutaj raczej zwrócić uwagę na możliwość odmiennych relacji partnerskich niż tylko nasza utarta i niekwestionowana monogamia. Namawiam na szczere spojrzenie na swoje relacje i układy – czy motywowane są one strachem, czy miłością i aktywnym wyborem tej samej osoby z dnia na dzień? Poliamoria to tylko możliwość i, jako idea, oferuje teoretyczne ramy przyzwolenia i wytyczne do poszukiwania autentycznych rozwiązań dla związków partnerskich, gdzie każdy przez własne doświadczenie i szczerość wobec siebie samego odnaleźć może rozwiązanie intymności, które sprzyja jego sercu.

Zacznijmy od szczerości – z samymi sobą i z partnerem. Prawdziwa sztuka kochania to otwieranie serca na ludzi. Niesienie pokoju na ziemi to egzystowanie w zgodzie ze swoimi marzeniami i pragnieniami, a zarazem utrzymanie harmonii w związku z bliskimi nam ludźmi.

Piszę o wieściach i innowacjach w normach społecznych z zagranicy, ale i w Polsce niespodziewanie otwierają się nowe możliwości, gdy słyszę, że mój brat w kraju jest właśnie w swoim pierwszym otwartym związku. Gratuluję bratu i sama wchodzę w mój pierwszy związek poliamoryczny daleko na lądzie Nowej Zelandii.

Dobrego kochania Wam życzę!

ALEKSANDRA GRZEBALSKA

Absolwentka psychologii społeczno-kulturowej z londyńskiego LSE. Obecnie ekstatyczna poszukiwaczka subiektywnej prawdy i propagatorka dzikości kobiecej twórczości. Pisze bloga, jak na razie po angielsku www.thepubliclifeofqueenaleksandra.wordpress.com.

MAGDALENA MARCINKOWSKA

Absolwentka ASP w Krakowie, studiowała również w Portugalii. Zajmuje się ilustracją, komiksem, malarstwem i filmem animowanym.

TYŁEK W ŚWIETLE REFLEKTORÓW,

CZYLI O MEDIALNEJ MIŁOŚCI DO TANIEJ SENSACJI

ADRIAN TURZAŃSKI | KAJETAN VON KAZANOWSKI

Czerwony dywan wyścielający chodnik przed wejściami na prestiżowe imprezy celebrytów, gwiazd filmowych i muzycznych czy innych notabli zazwyczaj stanowi granicę między sławnymi personami a pospolitymi obywatelami. Przedostanie się do takiej swoistej elity – a zarazem stanie się jej częścią – gwarantuje niejednokrotnie status materialny, względnie urodzenie, a wśród aktorów, piosenkarzy etc. coraz rzadziej talent.

Ostatnio mamy jednak do czynienia z osobliwą manierą *mass* i *social mediów* oraz serwisów informacyjnych, promujących nachalne, sztuczne i wymuszone próby zaistnienia w świetle fleszy. Naturalnie media kładą – i zawsze kładły – duży nacisk na tanią sensację czy kontrowersyjne treści, mające wywołać jak największy szum wokół przekazywanych informacji. Alegoryczny „tyłek" na pierwszych stronach sprzeda się lepiej niż chociażby nagroda przyznana za dokonanie czegoś wartościowego. Szczególnie widoczna aprobata takiej formy widoczna jest w nowych mediach – gdzie wyraźnie szerzy się plaga braku poloru, ogłady i cokolwiek dobrego smaku. A coraz to nowe nagłaśniane skandale – od afer wokół syntetycznie powiększonych piersi do pociętego oblicza – obrazują umiłowanie mediów do taniej promocji, sięgającej momentami osławionego dna.

Nie zaprzeczam, że znalazło się grono ludzi, którym przypadły do gustu roznegliżowane pośladki Patrycji Wojnarowskiej na przyjęciu Playboya, gdzie nomen omen powinna w swej kreacji z przesadnie dużym tylnym dekoltem pasować jak ulał. Jednak pokazywanie

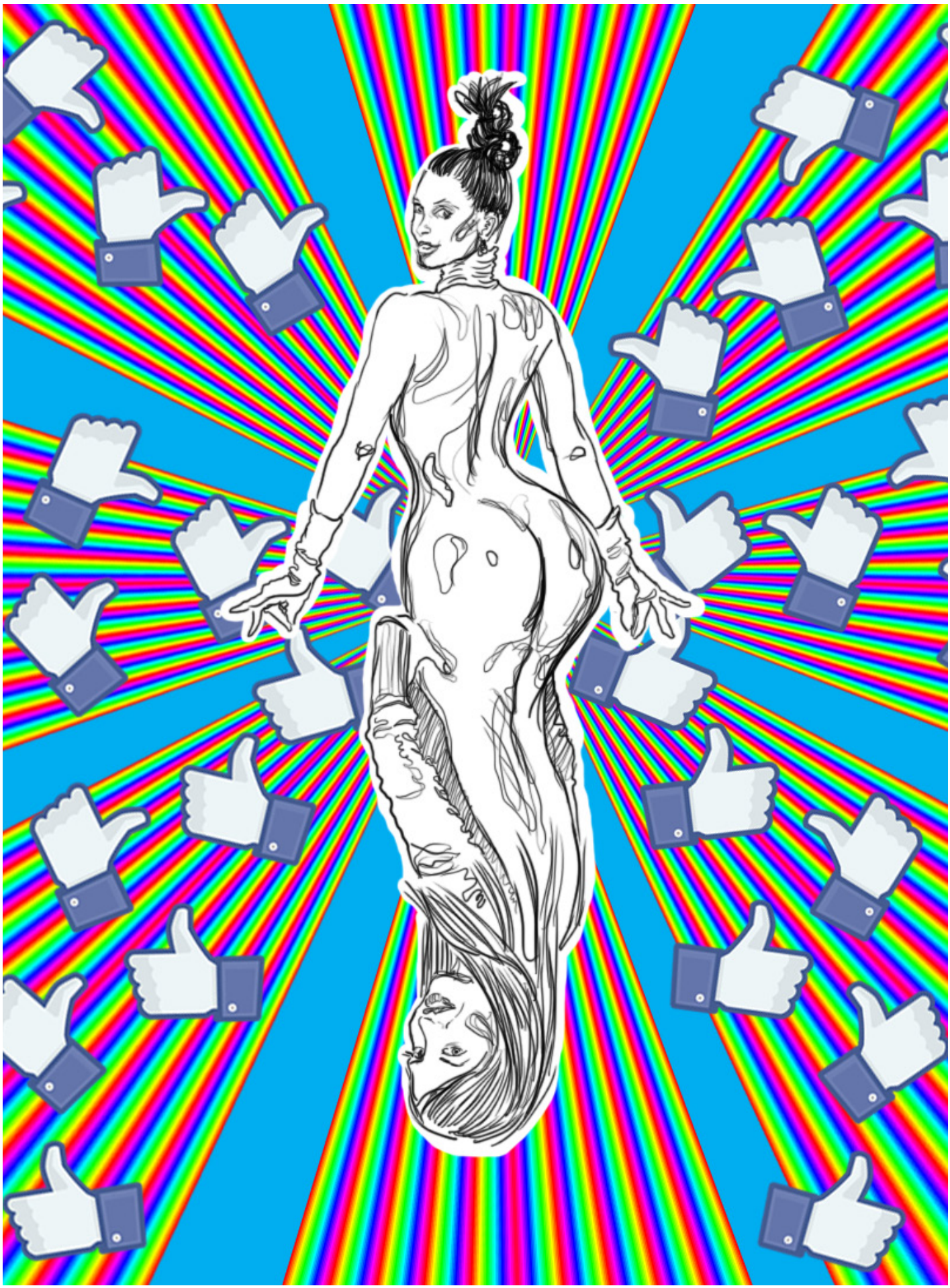

sesji zdjęciowych z tej sytuacji na portalach społecznościowych, serwisach poczty elektronicznej oraz w prasie stanowi dowód na to, jak nisko upadła kultura mass mediów. Podobne odczucia można mieć względem nagłośnionego przez media skandalu z Patrycją Pająk – a raczej biustem tej kobiety – w roli głównej. Pozostaje jeszcze kwestia wystąpienia Anieli Bogusz, która do niedawna pozostawała znana niemal tylko z prowadzenia bloga i występów w programach *lifestyle*'owych oraz treningowych, ale wskutek opublikowania szokujących wypowiedzi na temat swojej fascynacji erotycznej – znalazła się na łamach nie tylko Pudelka czy Kozaczka, ale również o2, Wirtualnej Polski czy strony radia Eska. Tym podobne incydenty powinny pozostać w sferze prywatnej, a nie społeczno-medialnej. Zwłaszcza że przykładowa osoba nie zaliczała się do osób publicznych przed zajściem. Nie po raz pierwszy media próbują przyciągnąć w ów sposób nowych odbiorców. I udaje się im, choć internauci najczęściej krytykują zarówno prezentowaną sylwetkę i/lub jej „wyczyn", jak i samo medium.

Nieco inaczej rzecz się ma w przypadku „teatralnego" oszpecenia twarzy przez Karola Sekułę, aby zyskać tak zwany fejm. Upodabnianie się do swoich idoli przecież nigdy nie należało do rzadkich zjawisk i w pewnym stopniu działa niczym darmowy marketing. Samookaleczenie Sekuły ma jednak zupełnie odmienny wymiar – staje się personifikacją tego, do jak skrajnych czynów zdolni są posunąć się ludzie, nieprzejawiający najwyraźniej żad-

nego unikalnego talentu, żeby choć przez chwilę zalśnić blaskiem (nie)sławy. I jak duży wpływ mogą mieć media na młodych odbiorców. Zdjęcia, wypowiedzi, a nawet nagrania – jak w przypadku chociażby filmów umieszczonych przez Bogusz na YouTube'ie – zawierają informacje skierowane przeważnie do pełnoletnich, a są ogólnodostępne na portalach społecznościowych.

Przedstawione osoby to bynajmniej nie jedyni przedstawiciele celebrytów. To nie oni jednak są w tym zakątku popkultury najbardziej karygodnym trendem, lecz *mass media*, które nagłaśniają takie zachowania, a przez to je promują. To przez nie każdy, kto wpadnie na bezmyślny i krzykliwy pomysł, może przez chwilę zakosztować sławy. Już nawet nie trzeba silić się na ambicje, wymyślność czy walory artystyczne – wystarczy chwycić za kamerkę i obnażyć się, poprzeklinać albo zrobić inną wyzbytą głębszego namysłu czynność w nadziei, że media wybiorą co ciekawsze „dzieła". Dlatego też razi hipokryzja mediów, gdy składają wymuszone kondolencje czy potępiają niektóre zachowania. Pokazanie gołych pośladków, piersi czy oszpeconej twarzy, choć początkowo mogą wydawać się pozornie nieznaczącymi zjawiskami, w istocie zaczynają być zarzewiem powodzi nowych celebrytów.

Jeszcze parę lat temu *social media* były niemal wyłącznie miejscami wirtualnych spotkań, wymiany informacji, a w końcu – dzielenia się plikami lub zdjęciami. Jedną z pierwszych polskich stron internetowych, oferujących użytkownikom możliwość udostępniania fotografii, była Fotka, gdzie ludzie otrzymywali oceny pod swoimi zdjęciami. Niektórzy członkowie społeczności za cel obrali zdobycie jak największej liczby polubień – w tym celu zaczęli zbliżać się do granicy pornografii. Przejmując parę elementów od Fotki, podobnie zaczął funkcjonować system oceniania zdjęć na „lokalnym" portalu Nasza Klasa. Nagość, czy to częściowa, czy całkowita, stała się stałym elementem wielu *social mediów*, z którym do dziś nie mogą poradzić sobie moderatorzy. Kiedy Polskę ogarnęła mania kont na Facebooku, Twitterze czy Instagramie, część użytkowników, by uzyskać większą popularność oraz ilość polubień, zaczęła wrzucać wyzywające zdjęcia i pisać kontrowersyjne treści. Administratorom nie zawsze udaje się na czas usunąć obraźliwe materiały, które przynoszą rozgłos właścicielom profili. Dzięki tego typu serwisom wyłoniło się już wielu internetowych celebrytów, np. Devin Brugman czy Abdalla AlBuqaish, którzy zyskali pracę w modelingu.

Istnieją także ciemne – czy „ciemniejsze" – strony zdobywania w ten sposób popularności. „Gwiazdy", które niespodziewanie zabłysły na nieboskłonie fleszy, równie niespodziewanie blakną i znikają. Natomiast zła opinia towarzyszy im przez długie lata. Inną kwestią jest zdobywanie takiego *fejmu* przez persony posiadające już jakieś osiągnięcia – czego znakomitym przykładem jest Michał Witkowski bądź Miley Cyrus. Witkowski, jeszcze nie tak dawno znany jako ceniony i zmyślny powieściopisarz, zaczął nagle pojawiać się w kuriozalnych strojach na tak zwanych salonach. Z pewnością stał się osobą szerzej rozpoznawalną, jednak ucierpiała na tym jego twórczość. Stałe goszczenie na stronach tabloidów uczyniło zeń – przynajmniej w oczach laików – autora rozrywkowych powieści o niskich walorach artystycznych.

O ile jednak prezentowane w *mass mediach* „występy" pana Witkowskiego, Cyrus czy (pośladków) Wojnarowskiej zaliczyć można do stosunkowo nieszkodliwych osobliwości, to przypadek skaryfikacji dokonanej przez Karola Sekułę, chcącego upodobnić się do Pawła Raka – kontrowersyjnego rapera z charakterystycznymi bliznami – są obrazem destruktywnego fanatyzmu. Dodatkowo sam Sekuła oznajmił, że to akt odwagi, a osób krytykujących jego zachowanie nie stać na podobną brawurę. Zasadniczo to jego prywatna sprawa, lecz jego postawa nie powinna być promowana na głównych stronach. Moim zdaniem krótkie notki i tytuły, mające wskazywać, że dane medium stoi po stronie moralności, to wyłącznie gra pozorów. Próba zatuszowania tego, iż sam portal, prasa, telewizja itd. ponoszą częściową odpowiedzialność,

troszcząc się przede wszystkim o statystyki wyświetleń, zakupionego nakładu czy widzów rośnie. Co notabene może pokazać niektórym spośród odbiorców, że dzięki podobnym czynom będą mogli zaistnieć na łamach któregoś medium.

Główną przyczyną pojawienia się plagi celebrytów ewidentnie są *mass* i *social media*. Rozmaite wydarzenia wyższej rangi zaczęły być pokazywane obok plotek, skandali obyczajowych, prywatnych wpadek i afer. Powstał z tego chaotyczny melanż treści o charakterze społecznym, kulturowym, politycznym – i tych nieprzyczyniających się do ludzkiego rozwoju, zaprzątających wyłącznie myśli. Ciżba dała się złapać na plotkarski haczyk i z niecierpliwością czeka na świeże fakty na temat ulubionego albo znienawidzonego aktora, muzyka, celebryty etc. Strategia mediów wiąże się w tym przypadku z podstawami przedsiębiorczości: kiedy występuje na jakiś produkt popyt, rośnie podaż. W tym wypadku niezaspokojony zostaje najwyraźniej apetyt na ludzkie infantylizmy, klaunady, ordynarności czy trywialną krzywdę. Media puściły w ruch koło prężnie rozwijającego się rynku taniej sensacji.

Próby walki o jakość mediów to nic innego jak walka z wiatrakami – przecież dziwactwa, krzywda i samoośmieszanie się sprzedaje się najlepiej, a o zyski, nie o misję chodzi. Jednak tym bardziej należy obserwować moralne podejście mediów masowych i społecznościowych, działać, zgłaszać i krytykować nieodpowiednie treści oraz zwracać uwagę, kto jest ich odbiorcą. Inaczej nie minie parenaście lat, a wdzięczny *Mazurek* Dąbrowskiego zastąpi *Klub Go Go* Gangu Albanii, zaś media będą pełne młodzieży z bliznami, obnażonych czy wulgarnych. Bo popkultura to także część naszej kultury, o którą należy dbać i zapobiegać jej regresowi.

ADRIAN TURZAŃSKI
Urodzony pod znakiem Skorpiona, rocznik ’94. Niedopieczony kulturoznawca, pasjonujący się literaturą szeroko pojętą, z naciskiem na beletrystykę kryminalną, historyczną oraz fantastyczną. Człowiek drogi i zarazem domator, nocny marek, niepoprawny romantyk etc., etc., pomijając wiele innych – na pierwszy rzut oka – fascynujących cech, w istocie okazujących się mdłymi czy odpychającymi – oczywiście po pewnym czasie i dokładniejszym poznaniu jednostki. Przez swoje krótkie życie przebywający w różnych subkulturach, kręgach czy środowiskach. Ma swój gust i swoje zdanie, co należy podkreślić. Bynajmniej nie jest „lemingiem”.

KAJETAN VON KAZANOWSKI
Absolwent projektowania ubioru, spędzający wolne chwile rysując przy komputerze. pieprzony esteta, zachwycający się każdym odstępstwem od normy, oraz fanatyk muzyki, wydający ostatni grosz na kolejną płytę.

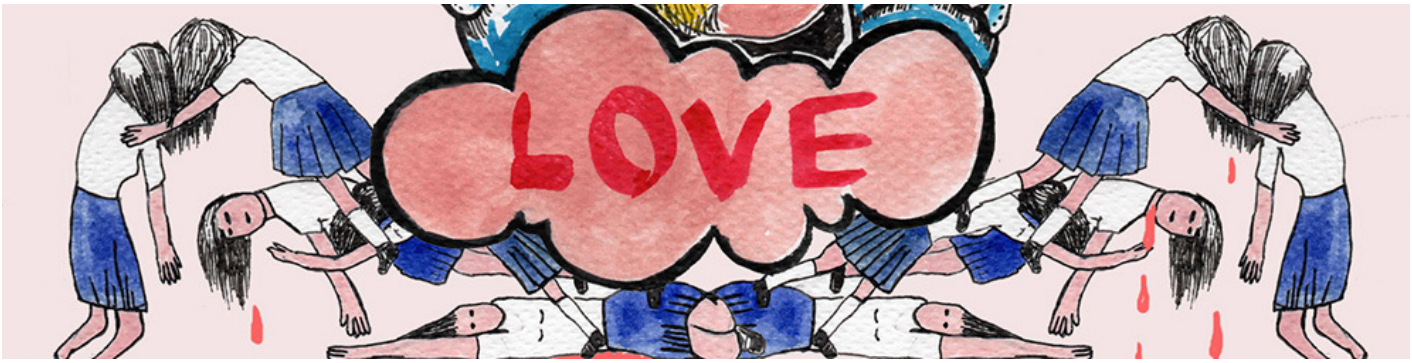

ZABÓJCZA MIŁOŚĆ

MAGDALENA MYRLAK | KAROLINA SULICH

„Nie mogłem zrozumieć, dlaczego ona, osoba, którą kochałem, traktowała mnie jak śmiecia" – to wyznanie Dusiciela z Bostonu policja uznała za kluczowe dla ustalenia ostatecznego czynnika, który zmienił Alberta De Salvo w seryjnego mordercę. Bo też jednym z wielu motywów, dla których seryjni mordercy popełniają swoje zbrodnie, jest miłość. Ta niespełniona.

Mówiąc o zbrodni z miłości, idealistycznie wyobrażamy sobie kochanków, którzy uwikłani są w skomplikowane relacje i ostatecznie stają w swojej szeroko pojętej obronie. A potem – oczyszczeni z zarzutów i uzbrojeni w społeczną akceptację swoich czynów – żyją długo i szczęśliwie. Otóż nie. W prawdziwym świecie rzadko zdarza się tak, że ostatecznie zbrodniarz i jego miłość, wtuleni w siebie, odjeżdżają na koniu, niknąc na horyzoncie. W prawdziwym świecie istnieją statystyki, które mówią, że zbrodnie z miłości stanowią przede wszystkim wynik intryg, zazdrości, przemocy i odrzucenia. A dla ich sprawców miłość staje się początkiem innego silnego uczucia – nienawiści.

MIŁOŚĆ I INNE ZBRODNIE

Wśród analiz licznych przypadków seryjnych morderców można wskazać na takie historie, w których poczucie odrzucenia lub zawód miłosny wywarły na mordercach tak głęboki uraz, że swoje ujście znalazły dopiero w zbrodniczym procederze. I to nie jednorazowym, pomyślanym jako zemsta na konkretnej osobie. Ale wielokrotnym, stanowiącym serię misternie zaplanowanych, a tym samym przynoszących ulgę oraz satysfakcję aktów, w których karany jest reprezentant określonej grupy lub nawet całego społeczeństwa.

Albert De Salvo przez lata doświadczał poniżeń i odrzucenia ze strony swojej żony. Nieotrzymywanie dowodów na łączące ich uczucie zamieniło go w brutalnego przestępcę seksualnego i seryjnego mordercę. Sam tłumaczył swoją działalność m.in. rozgoryczeniem tym, jak wyglądał jego związek, a także gniewem skierowanym przeciwko żonie, z którą relacje mu się nie układały. Jak sam wspominał, odczuwał konieczność wyjścia „na uli-

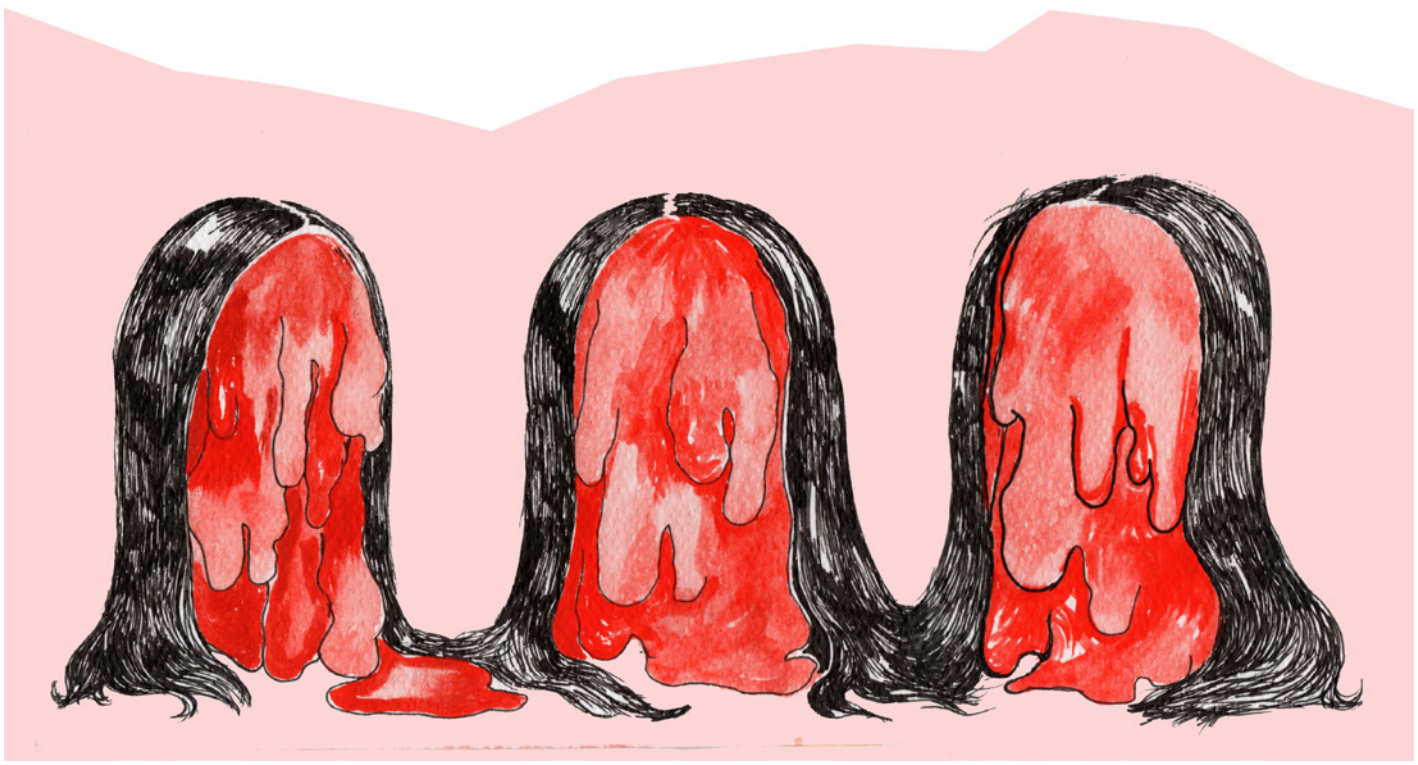

cę" i wyładowania swojej złości. Dusiciel z Bostonu w momencie schwytania miał na swoim koncie 13 morderstw i wiele czynów lubieżnych dokonanych na kobietach.

Klasycznym już przykładem, często przytaczanym przez biegłych dla zobrazowania zjawiska kompensacji nieszczęśliwie ulokowanych uczuć przez zbrodnie, jest kazus Teda Bundy'ego. Ten przystojny, inteligentny i obiecujący student prawa zakochał się w Stephanie Brooks, która była dla niego ucieleśnieniem ideału kobiety. Jego pierwsza partnerka pochodziła z zamożnej kalifornijskiej rodziny, podczas gdy Ted był dzieckiem nieślubnym, a jego matka ledwo wiązała koniec z końcem. Bundy nie mógł uwierzyć, że ktoś z jej klasy mógł zainteresować się kimś takim jak on. I faktycznie – Stephanie w końcu zerwała stosunki z Tedem. Ten ogromny zawód w połączeniu z głębokim poczuciem klasowości wkrótce doprowadziły do serii wydarzeń, które zszokowały świat. Blisko 40 ofiar (różne źródła podają nawet liczbę ok. 100), które przypisuje się Bundy'emu, to łatwy do scharakteryzowania profil kobiety. Były to wyłącznie białe, młode, piękne kobiety, pochodzące z wyższej klasy średniej. Biegli zwracają też uwagę na to, że większość jego ofiar miała długie, proste, ciemne włosy, przedzielone przedziałkiem, co upodabniało je jeszcze bardziej do Stephanie. Podczas procesu Bundy wielokrotnie wspominał, że jego proceder był ideologiczną walką klas. Odwetem i zemstą na warstwie społecznej – a zarazem na płci – która go odrzuciła. Wybór każdej kolejnej ofiary miał na celu ukaranie kobiet za niesprawiedliwość, jakiej w jego odczuciu od nich doznał. Ważne też było dla niego pokazanie wszystkim tym, którzy w zaistniałej sytuacji zwracali na niego uwagę, jak wielką władzę posiada. Jak niewiele znaczy ich pozycja w spotkaniu sam na sam z bestią.

MIŁOŚĆ W CZASACH... POPKULTURY

„Dorobek" Bundy'ego, a także wielu innych słynnych seryjnych morderców, wciąż elektryzuje i jest komentowany przez społeczeństwo. To stanowi o wypełnieniu woli mordercy – zapewnieniu mu sławy nawet po śmierci. Bo warto zauważyć, że jeszcze jednym aspektem zbrodni z miłości jest miłość własna. Chęć zdobycia rozgłosu i bycia na ustach wszystkich, np. poprzez sianie paniki, to według biegłych jedna z głównych przyczyn, dla których wielu zbrodniarzy zaczyna swoją działalność. Sposób dobry jak każdy inny, a może nawet i lepszy, bo przy odrobinie szczęścia, sprytu i umiejętności (dużą rolę pełni tu rytuał i systematyczność) przynosi gwarantowany sukces i obecność na pierwszych stronach gazet. Narcyzm i chęć zwrócenia na siebie uwagi przyświeca większości seryjnych morderców, których profile często zawierają opisy wcześniejszych problemów z akceptacją, nieśmiałością i kontaktami z ludźmi. Popełniane morderstwa to sposób na zdobycie sławy – jedyny, w jakim potrafią się odnaleźć, i jedyny, w którym są dobrzy. A przy okazji mają jeszcze możliwość zaspokojenia popędów.

Sposobów na wyróżnienie się na tle konkurencji jest wiele. Widać to na przykładzie Stanów Zjednoczonych, określanych mianem ojczyzny seryjnych morderców

– w latach 60. i 80. mówiło się wręcz o ich boomie czy epidemii. Można zaznaczyć swoją obecność poprzez liczbę popełnianych zbrodni, brutalność, wyrachowanie w działaniu czy charakterystyczny rytuał. Jeffrey Dahmer przyjął profil nekrofila i kanibala, który pozostałości swoich ofiar zakopywał w ogródku. Albert De Salvo z pewnością zapamiętany zostanie dzięki temu, jak wyglądało jego miejsce zbrodni – ciało ofiary misternie układał w wannie, wiążąc na ciele kobiety kokardę z jej rajstop. Ed Gein znany jest z tego, że szczątki jego ofiar służyły mu do tworzenia rozmaitych przedmiotów. David Richard Berkowitz, rozpoznawany jako Syn Sama, wierzył, że krwią ofiar musi karmić drzemiące w nim demony. Johna Wayne'a Gacy'ego przedstawia się już prawie wyłącznie w charakterystycznym stroju klauna, służącym mu do zwabiania swoich ofiar. Ted Bundy, okrzyknięty najokrutniejszym zabójcą kobiet, w sądzie robił show, przyjmując rolę własnego adwokata. Nie trzeba chyba dodawać, że z tego powodu sala rozpraw pękała w szwach. Czy w końcu Zodiak, który wdał się w grę z mediami w San Francisco, wysyłając do gazet zaszyfrowane wiadomości.

Biorąc pod uwagę te przykłady oraz całe mnóstwo, dla których nie ma tu miejsca, nie sposób wyobrazić sobie, by motywem tak wyszukanych i bestialskich czynów była sama potrzeba wyładowania agresji bądź nienawiści. To raczej pragnienie zaistnienia w przestrzeni publicznej oraz poczucie samouwielbienia, nieograniczonej władzy i bezkarności.

MIŁOŚĆ CI WSZYSTKO WYPACZY

W Stanach Zjednoczonych w samym tylko w stanie Kalifornia co roku dochodzi do ok. 10 ślubów osadzonych. Wśród nich nie brakuje tych zawieranych przez seryjnych morderców. Będąc za kratami swoją miłość odnalazł Ted Bundy, Charles Manson, Richard Ramirez czy Oscar Ray Bolin. Znacznie więcej ma swoje wierne fanki i otrzymuje od nich korespondencję.

Kobiety, które wiążą się z seryjnymi mordercami, przyznają, że nie są przerażone przeszłością ich partnerów. Niektóre także wierzą w ich niewinność lub zachodzącą przemianę, zauważają nie tylko mordercę, ale i dobrego człowieka. Ofiarując im swoją miłość, chcą przywrócić ich społeczeństwu lub po prostu cieszą się szczęśliwą, choć niewątpliwie specyficzną, relacją miłosną. Jednak psychologowie i ewolucjoniści całkowicie zaprzeczają tym dobrodusznym argumentacjom. Ich zdaniem kobiety wybierają seryjnych morderców, bo pożądają silnych i władczych mężczyzn, którzy dodatkowo owiani są złą sławą. Ci natomiast chętnie przyjmują te uczucia. Odpisując na listy i przyjmując wizyty, wypełniają swój wolny czas w oczekiwaniu na karę śmierci bądź koniec wyroku pozbawienia wolności.

Miłość to piękne i niebezpieczne zarazem uczucie, a w rękach nieprzewidywalnych jednostek może stać się naprawdę zabójczym.

MAGDALENA MYRLAK
Absolwentka socjologii i Public Relation. Zafiksowana na punkcie seryjnych morderców i Indian Ameryki Północnej. Marzy o reportażu będącym relacją z wojny narkotykowej na granicy Stanów Zjednoczonych i Meksyku.

KAROLINA SULICH
Artystka wizualna, zajmująca się ilustracją. Studiowała wiedzę o teatrze i malarstwo. Wizualna dj-ka, eseistka obrazowa. Jej prace porównywane są do The Royal Art Lodge, Bjork i Roee Rosen. W jej pracach widać wyraźne wpływy psychoanalizy, literatury i pop-kultury. Bliska jej jest postawa „braku stylu" i rytm lat 90'tych.

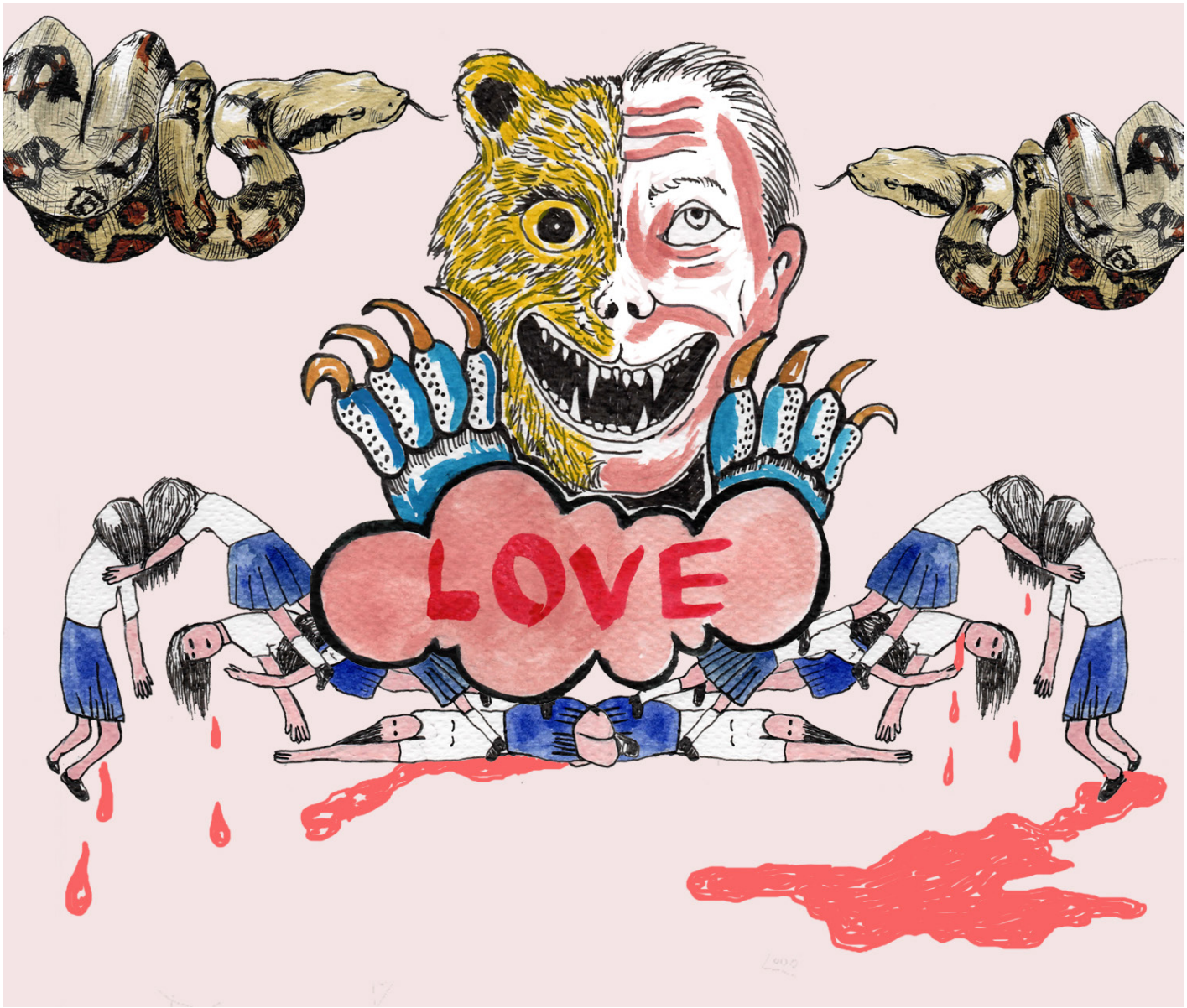
LOVE

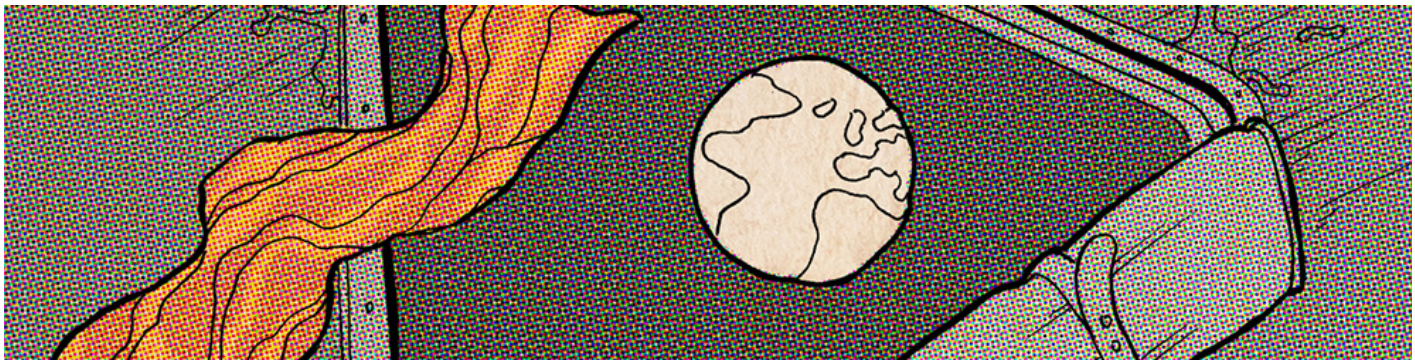

ALL YOU NEED IS LOVE… AND BACON!

KATARZYNA NOWACKA | MARIUSZ HOŁOD

Miłość do bekonu łączy miliony smakoszy na całym świecie. Sama zaliczam się do jego wielkich fanów i mimo że angielska kuchnia jest powszechnie krytykowana, bekon zawsze osładza mi miesiące spędzane w Wielkiej Brytanii. Daleko mi, co prawda, do przeciętnego Amerykanina, który zjada podobno ponad 8 kg tego mięsa rocznie, ale muszę przyznać, że pomiędzy obiadem w wegańskim bistro a sporymi ilościami warzyw i owoców, które zwykle jadam, od czasu do czasu wielką przyjemność sprawia mi dobrze wysmażony bekon. Choć zupełnie niepopularny w Polsce, ten międzynarodowy fenomen dawno przekroczył już brzegi patelni.

Bekon wywodzi się ze starożytnych Chin, gdzie ok. 1500 roku p.n.e. przyjął się zwyczaj solenia i przechowywania wieprzowego boczku, sama nazwa natomiast obecna była już w języku staro-wysoko-niemieckim jako *bacho*, a później w średnioangielskim jako *bacoun*. Dzisiaj bekon to nie tylko tradycyjna potrawa, ale przede wszystkim popkulturowy fenomen. „Mój partner bardziej niż mnie kocha bekon" – tak brzmiała obawa aż 23% respondentów badanych przez Maple Leaf Foods.

BEKON W KUCHNI

W polskiej kuchni zdecydowanie króluje boczek, który teoretycznie jest prawie tym samym co bekon – jak wszyscy jednak wiedzą, „prawie" robi wielką różnicę. Boczek to mięso wieprzowe pochodzące z dolnego boku świni – w Polsce często z okolic brzucha. Występuje on w różnych wariacjach, mięso jest często pieczone lub gotowane. Plastry bekonu są natomiast oddzielone od warstwy tłuszczu, ale, w zależności od kraju i tradycji kulinarnej, wycinane bywają z różnych partii tuszy wieprzowej (np. w Kanadzie z polędwicy, w Wielkiej Brytanii z karkówki i szynki, a w Stanach Zjednoczonych głównie z „brzucha", czyli tłustego boczku) – w sumie ok. 11% całkowitej masy zwierzęcia może być opcjonalnie pocięte na bekon. Mięso jest najczęściej peklowane, w rezultacie czego otrzymuje się tzw. świeży bekon, który później może być suszony, gotowany lub wędzony. Jest to przysmak szczególnie po-

pularny w kręgu kultury anglosaskiej, gdzie – zależnie od rodzaju mięsa i sposobu jego przygotowania – w codziennym słowniku operuje się wieloma różnymi nazwami bekonu: *streaky bacon, back bacon, middle bacon, jowl bacon* czy *slab bacon*. W USA wieprzowy przysmak aż w 70% przypadków spożywany jest na śniadanie.

Warto wspomnieć też o istnieniu wegetariańskiego bekonu (nazywanego również: *fakon*, *veggie bacon* albo *vacon*). Charakteryzuje się on brakiem cholesterolu i niską zawartością tłuszczu, do tego jest bogaty w białko i błonnik. Wytwarza się go najczęściej z marynowanego tofu albo tempehu. Niestety jednak kuszący rarytas w wersji oryginalnej nie należy do zdrowej żywności: podczas gdy 100g jabłek zawiera ok. 50 kalorii, 100g bekonu – 550. 4 plasterki bekonu to ok. 50 % dziennego zapotrzebowania człowieka na sól, a do tego zawiera on, tak jak inne wędliny, mnóstwo azotynu sodu (A.K.A. dobrze nam znanego dodatku konserwującego o symbolu E250), dzięki któremu utrzymuje świeżość i ładny wygląd. Jest to substancja potencjalnie rakotwórcza, może też powodować problemy z transportem tlenu w organizmie. Z drugiej strony potrafi chronić przed niektórymi bakteriami.

Ogólnie wychodziłoby oczywiście na to, że z bekonem – jak ze wszystkim – należy po prostu zachować umiar i wprowadzać go w niewielkich ilościach do zbalansowanej diety pełnej warzyw i owoców. Problem polega jednak na tym, że wieprzowy przysmak stanowi dla wielu zbyt silną pokusę. Wydaje się, że częściowo możemy winić za to nasz węch: przy obróbce cieplnej bekonu

podczas topienia się tłuszczu cukier i aminokwasy wchodzą w reakcję, w której wydziela się ponad 150 lotnych związków organicznych, odpowiadających za niesamowity zapach mięsa i stymulację naszych zmysłów. Ale czy może to tłumaczyć miłość, jaką ludzie darzą bekon? Jak podaje AsapSCIENCE w odcinku pt. *The Science of Bacon*, bekonowy rynek w USA warty jest 4 miliardy dolarów rocznie, natomiast według badań z 2010 roku 43% Kanadyjczyków wybrałoby bekon zamiast seksu. Przysmak ten wchodził również w skład pierwszego posiłku, jaki Neil Armstrong i Buzz Aldrin spożywali na Księżycu.

BEKON NA PIEDESTALE

Chociaż wieprzowe rarytasy cenione są w wielu krajach, to Amerykę Północną opanowała prawdziwa bekonmania (to prawdziwe słowo i zjawisko opisywane już w angielskojęzycznych źródłach jako *bacon mania*). Istnieje wiele restauracji specjalizujących się w daniach z bekonem oaz niezliczone publikacje – drukowane i internetowe – z przepisami. Na tak jedzeniu i tematycznych lokalach się jednak nie kończy, co roku bowiem odbywają się bowiem liczne imprezy, poświęcone pysznym wieprzowym plastrom, by wymienić tylko Ohio Bacon Fest, Portland Bourbon and Bacon Fest, Blue Ribbon Bacon Festival czy Bacon and Beer Classic – licencjonowaną imprezę organizowaną na stadionach w całych Stanach. Ogłoszony – choć nieoficjalnie – został też Międzynarodowy Dzień Bekonu: tradycyjnie wypada on w sobotę poprzedzającą amerykański Dzień Pracy (ten z kolei obchodzony jest w pierwszy poniedziałek września), ale niektóre źródła podają również datę 30 grudnia.

Bekon pojawia się w wielu programach telewizyjnych i internetowych, m.in. kanadyjskim *Epic Meal Time*, popularyzującym tłuste kaloryczne jedzenie i alkohol. Strony internetowe typu bacontoday.com stanowią istną skarbnicę informacji – od bazy przepisów, przez aktualne wydarzenia, filmy i nowinki ze świata, aż po sklep internetowy. A to wszystko poświęcone tylko i wyłącznie bekonowi. Heather Lauer prowadzi bloga pt. *Bacon Unwrapped* i w 2009 roku wydała bardzo popularną książkę non-fiction *Bacon: A Love Story, A Salty Survey of Everybody's Favorite Meat*, zbierającą zarówno przepisy, jak i ciekawostki popkulturowe dotyczące wieprzowego przysmaku. Nie jest ona zresztą osamotniona w wyborze tematu – wśród innych publikacji można znaleźć również m.in. *Seduced by Bacon: Recipes & Lore about America's Favorite Indulgence* Joanny Pruess i Boba Lape, *Bacon Orgazmia* Thomasa F. Shubnella, *I Love Bacon!* Jayne Rockmill czy *Everything Tastes Better with Bacon: 70 Fabulous Recipes for Every Meal of the Day* Sary Perry. Bekon pojawia się jednak nie tylko na papierze – w maju 2014 swoją premierę miał film *State of Bacon* (Jason Cook), promocyjny mockument dotyczący wspomnianego już Blue Ribbon Bacon Festival. Z tych wszystkich przykładów mogłaby właściwie wynikać prosta konstatacja, iż ludzkość radośnie jednoczy się w miłości do bekonu. Nic dziwnego, że dokonał on ekspansji daleko poza patelnię, a jego smak i zapach może nam towarzyszyć w wielu dziedzinach życia.

BACON-FLAVORED WORLD

Nie będę bardzo daleka od prawdy, twierdząc, że można znaleźć wszystko o smaku albo zapachu bekonu. Zostając na razie w kręgu jedzenia, z bekonem romansują również desery. Istnieją rozmaite wariacje na temat bekonu w czekoladzie. Bardzo ciekawa jest historia bekonowych lodów, które obecnie dostępne są w licznych restauracjach i dla wielu nie stanowią novum – narodziły się one jednak jako żart. W 1973 roku wymyślone zostały na potrzeby skeczy dla komediowego programu BBC pt. *The Two Ronnies*. Niecałe 10 lat później we Fredonii w stanie Nowy Jork w ramach primaaprillisowego żartu zaczęły powstawać eksperymentalne smaki lodów, by w 1992 zadebiutować mógł bekonowy – lody rozdawane były bezpłatnie każdemu, kto odważył się ich spróbować.

Spożywcza oferta jest bardzo długa: popularną jadalną ozdobę stanowią bekonowe róże, a wieprzowina idzie również w parze z alkoholem, m.in. pod postacią szota o nazwie Mitch Morgan, składającego się z burbona i zatkniętego na kieliszku plasterka chrupiącego bekonu jako zakąski, albo Bacon Martini (znanego również jako *Bacontini*, Pig on the Rocks lub Bloody Bacon Martini) –

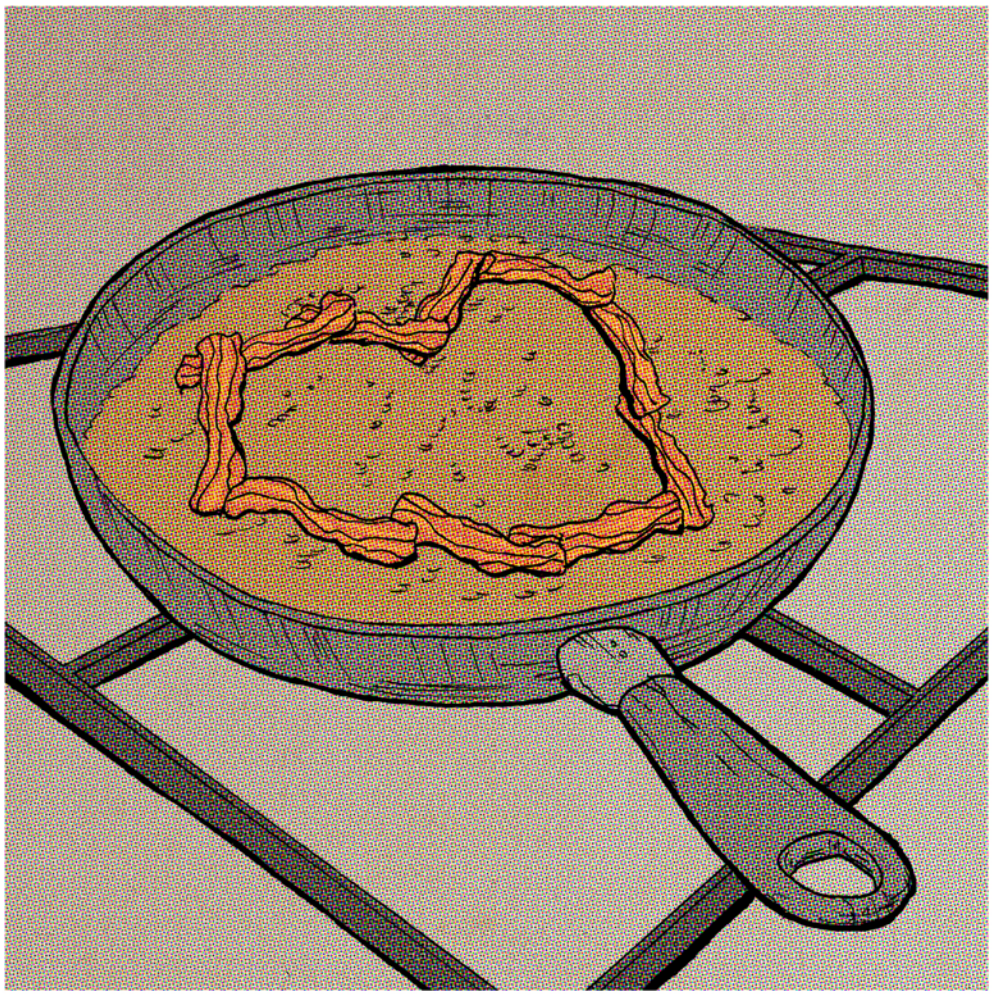

drinka na bazie bekonowej wódki (!), również z przegryzką. To właśnie Mitch Morgan miał rzekomo zainspirować właścicieli J&D's, firmy, która odegrała znaczącą rolę w rozwoju oferty bekonowych produktów. Ich pierwszą propozycją była bekonowa sól. Spółka z Seattle zaczynała swoją działalność w 2007 roku z praktycznie zerowym kapitałem, kampanię reklamową opierając prawie wyłącznie na mediach społecznościowych. Sól okazała się być jednak gigantycznym sukcesem i jeszcze tego samego roku tonami sprzedawała się we wszystkich 50 stanach oraz 26 innych państwach. Inne popularne produkty tej marki to m.in. Baconnaise (czyli odpowiednik majonezu), BaconPOP (bekonowy popcorn do mikrofalówki), Bacon Ranch (rodzaj dipu), Bacon Rub (posypka bekonowa) czy Bacon Croutons (grzanki bekonowe). J&D's w swoich materiałach promocyjnych stawiają na poczucie humoru, opisując swoją ofertę pół żartem, pół serio. Albo inaczej: opisując żartem, ale na serio ją tworząc. I tak wyprodukowali np. bekonowe trumny – „dla tych, którzy śmiertelnie kochają bekon", pomadki, piankę po goleniu, krem do opalania i dezodorant. Powstały również koperty o smaku i wyglądzie bekonu oraz poszewki na poduszki uwalniające zapach smakowitej wieprzowiny (*Sweet bacony dreams*!). Nie można też zapomnieć o bekonowych prezerwatywach. Konkurencja jednak nie śpi: w ofercie innych firm można trafić na takie ciekawostki jak pasta do zębów o smaku bekonu albo pachnący bekonem i graficznie go przypominający odświeżacz powietrza.

BEKON W NOWYCH TECHNOLOGIACH

Wieprzowina podbija też świat mediów społecznościowych i najnowszych aplikacji. Na pewno wiele osób

ZAMIAST SŁUCHAĆ RELAKSACYJNYCH ODGŁOSÓW LASU ALBO PADAJĄCEGO DESZCZU, MOŻEMY ODTWORZYĆ W SERWISIE YOUTUBE 8-GODZINNE NAGRANIE DŹWIĘKÓW SMAŻONEGO BEKONU

pamięta jeszcze debaty na temat nowych wzorów ikonek emocji, które miałyby zostać wprowadzone w 2016 roku. Użytkownicy rozmaitych portali i komunikatorów uznali, że na co dzień przydałoby się im graficzne przedstawienie takich pozycji, jak m.in. jednorożec, *face palm*, *selfie* czy, rzecz jasna, bekon. Na kłopoty ze snem również znajdzie się wieprzowe rozwiązanie – zamiast słuchać relaksacyjnych odgłosów lasu albo padającego deszczu, możemy odtworzyć w serwisie YouTube 8-godzinne nagranie dźwięków smażonego bekonu. Zalecam jednak ostrożność – pod spodem znalazłam liczne komentarze donoszące, że eksperymentatorom nie tylko nie udało się zasnąć, ale wręcz musieli oni porzucić ciepłe łóżko i udać się do kuchni w celu wrzucenia małego plasterka na patelnię…

Fanów grafiki i typografii zauroczy pewnie strona baconipsum.com, czyli generator *lorem ipsum* (przykładowego, tradycyjnie łacińskiego tekstu, służącego do prezentacji graficznego rozkładu projektu witryny) związanego z bekonem i mięsem (*A Meatier Lorem Ipsum Generator*). Można wybrać opcję „tylko mięso" albo „mięso i wypełniacze"; potrzebujemy, powiedzmy, 5 akapitów, klik i proszę bardzo: *Bacon ipsum dolor amet kevin sausage ball tip tongue meatloaf, strip steak fatback boudin turkey doner prosciutto ham hock pork loin hamburger. Bresaola andouille beef ribs boudin bacon tail meatball pork…* Ale to jeszcze nie wszystko, bowiem istnieje również bekonowy *mock-up*, czyli generator mięsnych zdjęć wypełniających na stronach internetowych powierzchnię o podanym przez nas rozmiarze. Najlepiej sprawdza się oczywiście w połączeniu z Bacon Ipsum! Z takimi narzędziami nietrudno stworzyć oryginalne szablony stron internetowych czy prezentacji multimedialnych.

Jednak prawdziwym hitem, o którym huczało ostatnio w mediach społecznościowych i publikacjach dotyczących nowinek technologicznych, był Sizzl – randkowa aplikacja mobilna dostępna w systemie iOS, dobierająca znajdujących się niedaleko siebie ludzi w pary według ich upodobań kulinarnych. Nie pytano użytkowników tylko o to, czy w ogóle lubią bekon, ale również jaki jest ich ulubiony sposób przyrządzania i spożywania tego przysmaku. Twórcą aplikacji jest Oscar Mayer, jeden z czołowych amerykańskich producentów mięsa i wędlin (z tradycją sięgającą jeszcze XIX wieku, a obecnie część grupy Kraft Foods), który w 1924 roku opatentował gotowy do sprzedaży pakowany bekon w plastrach; spółka w celach promocyjnych proponowała już wcześniej inne skwierczące udogodnienie – iPhone'owy budzik, rozsiewający zapach bekonu.

Z nieco bardziej abstrakcyjnych inspiracji bekonem warto jeszcze przywołać Bacon Skateboards z Portland w stanie Oregon. To firma zajmująca się wytwarzaniem desek skateboardingowych, która współpracuje z riderami na całym świecie. Litery w słowie „bacon" w jej logo

utworzone są z rysunkowych plasterków bekonu, a graficzny projekt wielu desek zawiera jakieś „wieprzowe" elementy. Twórcy marki twierdzą, że „wszyscy kochają bekon", a jej fanpage na Facebooku obok kategorii „Sports & Recreation" i „Clothing Store" opisany jest humorystycznie również jako „Meat Shop".

Wydaje się, że manifestowanie miłości do bekonu i marketing w realiach międzynarodowej bekonmanii w dużej mierze opierają się na żartach czy traktowaniu tego fenomenu z przymrużeniem oka. Nie ma się temu co dziwić, skoro raczej trudno byłoby zachwalać walory zdrowotne tak przetworzonej wieprzowiny i oprzeć na nich reklamę. Z drugiej jednak strony warto pamiętać, że – jak podaje strona *Bacon Fun* – bekon jest zdrowszy niż metamfetamina!

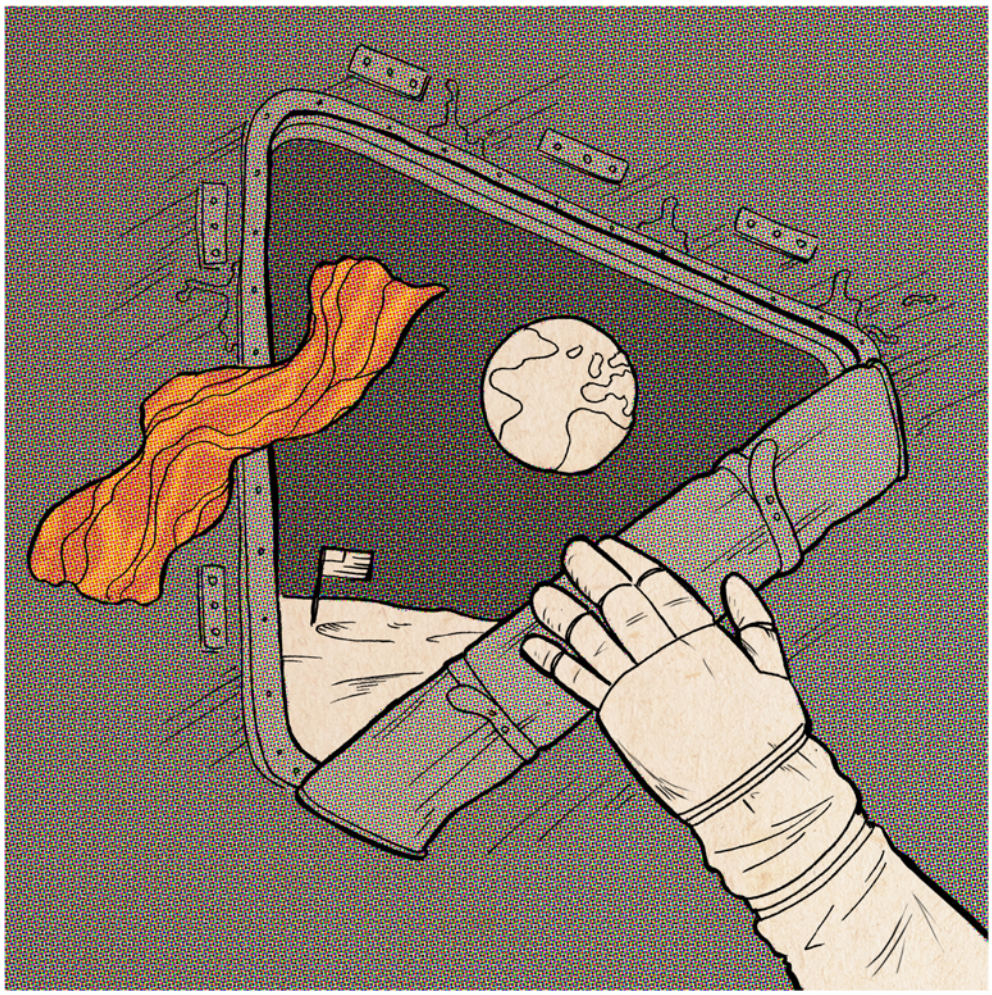

KATARZYNA NOWACKA
Krakuska, miastofilka, miłośniczka morza i żyraf, studentka filmoznawstwa. Interesuje się kulturą, podróżami i sportem. Ma słomiany zapał, ale dzięki temu ciągle się czegoś uczy.

MARIUSZ HOŁOD
Student Wydziału Architektury na Politechnice Wrocławskiej. W wolnych chwilach zajmuje się tworzeniem komiksów i ilustracji.

ARTYSTYCZNE ZWIĄZKI

PAULINA ZIĘCIAK | ANNA KRZTOŃ

Relacje międzyludzkie ewoluują na przestrzeni czasu. O niektórych zaczynamy mówić nieskrępowanie, podczas gdy dla innych musimy dopiero znaleźć odpowiedni język; niektóre zaczęły być po prostu tolerowane, inne wciąż budzą kontrowersje. Sztuka współczesna podejmuje każdy temat społeczny, również relacji międzyludzkich – zabiera głos w toczących się dyskusjach, poszukując reprezentacji artystycznej na miarę rzeczywistości, w której powstaje.

Rok 2015 to czas, w którym nasze życie zdominowała cyberprzestrzeń. Porozumiewając się, posługujemy się krótkimi i prostymi zdaniami, często wręcz hasłami. Na co dzień całe nasze otoczenie „przemawia" do nas za pomocą zwięzłych komunikatów. Reklamy, bilbordy, newsy ze świata, smsy. Nie mamy czasu i nie potrafimy się skoncentrować. Naszą uwagę przykuwa to, co kolorowe, szybkie i lapidarne. Zamiast książki wolimy przeczytać streszczenie, wiadomości oglądnąć w telewizji, a w gazecie czytamy tylko nagłówki.

LOADING BRAND NEW ME

Każdy z nas posiada telefon komórkowy, najczęściej smartfona z aplikacjami, umożliwiającymi robienie dosłownie wszystkiego w formie wirtualnej, poza tym tablet, komputer oraz telewizor. Najczęściej używamy tych przedmiotów jednocześnie, piszemy maila i smsa, pracujemy na komputerze przy włączonym telewizorze. Rea-

gujemy na krótkie, szybkie i kolorowe bodźce.

Podobnie jest z naszymi emocjami. W relacjach z drugim człowiekiem zastępują je emotikony, krótkie hasła, smsy i obrazki. Wysyłając wiadomość do znajomego bez „emotki", jesteśmy pytani o zły humor. Gdy włączymy Caps Locka, druga osoba od razu wie, że „krzyczymy". Miłość zastępuje „<3", pocałunek „:*", a zamiast rozmowy czy nawet pisania o uczuciach, wstawiamy obrazek. Nie ma emocji, która dziś nie posiadałaby swojego odzwierciedlenia w „emotce". Nie wyjdziemy z domu bez telefonu, bo nie odpisując jakiś czas na wiadomości, wszyscy myślą, że coś nam się stało, a na spotkaniach towarzyskich siedzimy z telefonem na stoliku lub – co gorsza – z nosem w nim.

Sztuka współczesna zawsze wychodzi naprzeciw temu, co dzieje się w społeczeństwie. Stara się oddziaływać na człowieka za pomocą bieżących środków oraz komentować to, co dzieje się dziś. Doskonałym tego przykładem są prace malarskie artystki wizualnej Laury Paweli, inspirowane oknami z popularnego systemu komputerowego Windows. Jednak zamiast komunikatów wydawanych przez komputer, na obrazach mamy hasła dotyczące naszego życia. Artystka w swoich obrazach pokazuje, jak niedługo może wyglądać świat, gdy zamiast rozmawiać, będziemy wydawać sobie krótkie komendy, a wszystkie uczucia będą wyrażane za pomocą okna dialogowego. Pojawiają się tutaj takie komunikaty jak: „Shit", „Could not find myself" czy „Loading brand new me". W tym świecie wszystko jest proste, nie ma mowy ciała, tonacji głosu, jest tylko jednoznaczny komunikat, oschły i bez uczuć. Coraz częściej nasze relacje międzyludzkie wyglądają w ten sposób. Łatwo nawiązujemy nowe znajomości i przyjaźnie, łatwo się zakochujemy, ale równie łatwo przychodzi nam te związki kończyć. Zapominamy, że nie każdy z tych komunikatów możemy „włączyć" w świecie rzeczywistym, a życie u boku drugiego człowieka jest o wiele bardziej skomplikowane.

„MIŁOŚĆ ZASTĘPUJE „<3", POCAŁUNEK „:*", A ZAMIAST ROZMOWY CZY NAWET PISANIA O UCZUCIACH, WSTAWIAMY OBRAZEK

MAMA KASIA I MAMA OLA

Zmiany nie zachodzą wyłącznie w technice oraz nauce, ale również w sferze kulturowo-społecznej. Dotyczą one kwestii postrzegania rodziny, relacji w niej zachodzących oraz miłości rodzicielskiej, a także sfery seksualnej, szczególnie kwestii tolerancji i legalizacji związków homoseksualnych czy akceptacji osób transseksualnych.

Bardzo często wraca się do tematu rodzin zakładanych przez pary jednopłciowe. Sztuka współczesna również zajęła stanowisko w tej sprawie. Małgorzata Markiewicz w swojej pracy wideo *Patchworkowe rodziny* podjęła dyskusję o nowej rodzinie. W filmie zabawa patchworkowymi laleczkami, symbolizującymi członków rodziny, została przedstawiona w bardzo współczesnej formie. Oprócz tradycyjnych postaci takich jak: mama, tata, ja, brat, siostra, babcia, dziadek oraz współdomowników – psa czy kota, pojawiają się między innymi koleżanka, kolega, a nawet córka kolegi mamy. Dzieci wybierają marionetki przedstawiające członków ich rodzin i ustawiają, nadając im imiona domowników. Oprócz tradycyjnych „komfiguracji" pojawiają się mama Kasia i mama Ola czy rodzina złożona z konkubentów rodziców tych dzieci. Niczym niezwykłym nie są przy familiach wielopokoleniowych rodziny, w której skład wchodzą jedynie matka i dziecko. Artystka w ten sposób pokazuje, że dzieci wychowane w tolerancji i akceptacji zachodzących zmian kulturowych nie zauważają różnic w rodzinach „tradycyjnych" i „nowoczesnych". Jest dla nich normalnym, że niektóre dzieci mają dwie mamy lub ich rodzice mają innych partnerów.

OJCIEC POLAK

Bardzo ważnym zagadnieniem w temacie niestandardowego okazywania uczuć jest miłość rodzicielska. Od wieków uważało się, że wychowaniem dziecka powinna zajmować się wyłącznie lub w głównej mierze matka. Bardzo często w literaturze, sztuce, nauce wspomina się zagadnienie miłości matczynej i równie często zapomina o miłości ojcowskiej. Mimo długiej walki o równouprawnienie, dopiero od niedawna zaczęto zastanawiać się nad kwestią wychowywania dzieci. Telewizja, reklama, kościół – kultura od lat pokazuje nam obraz matki i dziecka. W popularnych wizerunkach widzimy matkę przewijającą i przytulającą dziecko, podczas gdy ojciec pozostaje jedynie głową rodziny, która zarabia na chleb. Czasami zagra z synem w piłkę lub naprawi rower córce, ale jego rola wychowawcza zwykle na tym się kończy. Dziś coraz częściej rola ojca i miłość ojcowska zostaje zrównana z miłością matczyną. Wciąż mówi się, że rodzice powinni mieć równy wkład w wychowanie dziecka. Pojawiają się grupy i stowarzyszenia pomagające odrzuconym ojcom (najczęściej po rozwodzie) uczestniczyć w wychowaniu swoich dzieci.

W swojej pracy fotograficznej z 1981 roku, *Projekt Pomnika Ojca Polaka*, Adam Rzepecki skomentował właśnie to zagadnienie, zamieniając Matkę Polkę w Ojca Polaka. Przedstawił mężczyznę, jest nim sam artysta, siedzącego na krześle i trzymającego na ręku niemowlę w pozycji stylizowanej na karmienie piersią. Zdjęcie wzbudziło więcej kontrowersji niż można by się spodziewać. Proste przesłanie w nim zawarte – ojciec i matka są tak samo ważni dla dziecka – zostało porównane do kpiny z karmienia piersią, z macierzyństwa oraz z figury Matki Polki.

Sztuka współczesna powinna wychodzić wszystkim zjawiskom bieżącym naprzeciw. Jednym z nich są właśnie kwestie niestandardowego wyrażania uczuć: pary homoseksualne, wirtualne związki, pary transseksualne, nowe

formy rodziny czy rodzicielstwa. Artyści odpowiadają na te zagadnienia w rozmaity sposób. Za pomocą malarstwa, wideo instalacji czy fotografii wyrażają własne poglądy na dany temat. Zabieranie głosu w toczącej się dyskusji nie jest to bezpodstawną krytyką, łamaniem tabu czy naśmiewaniem z tradycji. My nie musimy się z tymi poglądami zgadzać, ważne abyśmy wzięli udział w toczącej się dyskusji, gdyż ona dotyczy również nas.

Sztuka współczesna, w odróżnieniu od sztuki poprzedzających ją epok, w dużym stopniu kładzie nacisk na komentarz i przesłanie. Daje nam do myślenia i ma wiele wartości pozaestetycznych. Aby dobrze ją zrozumieć, bądźmy otwarci na otaczające nas zjawiska. Mimo iż zagadnienia miłości są kwestiami ponadczasowymi, wiele z jej form dopiero teraz dochodzi do głosu – również poprzez sztukę.

PAULINA ZIĘCIAK
Studentka V roku historii sztuki. Interesuje się malarstwem XIX i XX wieku, sztuką współczesną oraz ilustracją książkową, głównie dla dzieci. Poza tym uwielbia Sherlocka Holmesa oraz serial House of Cards.

ANNA KRZTOŃ
Zajmuje się komiksem i ilustracją. Absolwentka ASP Katowice. Bawi ją rysowanie niestworzonych historii, które dotychczas publikowała w antologiach, magazynach i zinach w Polsce, Szwecji, Finlandii, Belgii, Estonii, na Litwie, Słowenii i w USA. Współpracuje jako ilustratorka z Popmoderną, Kulturą Liberalną i Magazynem Kontakt. Jej komiksy można przeczytać na stronie Menażeri i PROwincji.

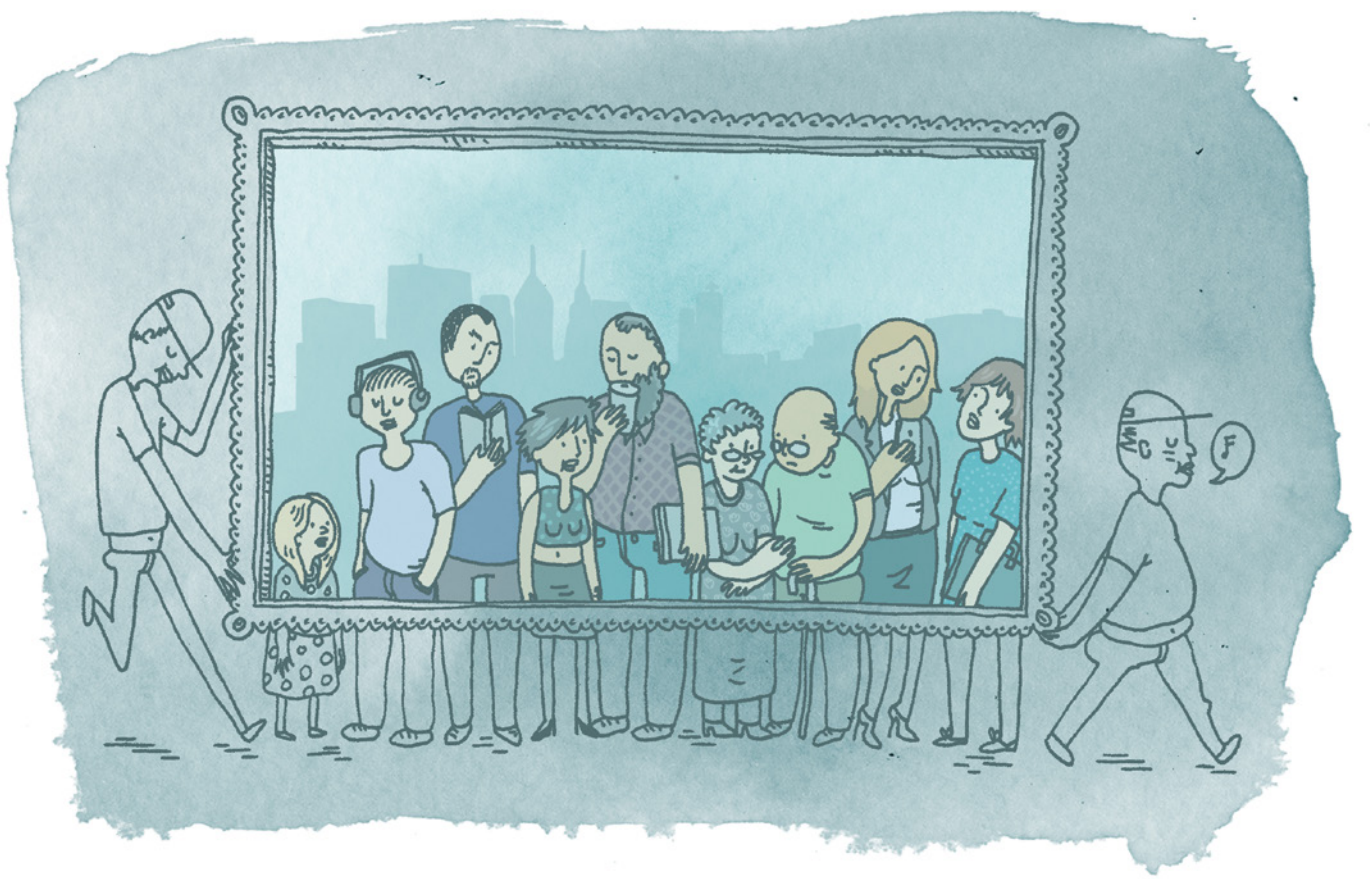

MIŁOŚĆ W CIENIU PIRAMID

AGNIESZKA WIKTOROWSKA - CHMIELEWSKA | WERONIKA „WERA" GRZYWA

Egipt to temat rzeka, temat Nil – długi, nieprzewidywalny, niebezpieczny. Tam rozłupałam się, a następnie długo składałam na nowo.

Wilki o wygłodniałych oczach śledzą na bazarach europejskie kobiety. Marzą o nich, ich spojrzeniach, ciałach, spędzonej razem nocy, niektórzy małżeństwie. Z chęcią kupują je od białych mężczyzn. I to nie na żarty.

Są też tacy, których ciemne źrenice zradzają ukryty ból. Smutek usztywnia ich twarze, wbija wzrok w piasek. Niełatwo być dzieckiem księżyca.

I tacy, którzy namiętnie podsycają ogień wrogości i zniszczenia. W sobie i w innych. Ta przypadłość nie dotyczy jednak tylko tego kawałka świata. Szaleńców palących mosty znajdziesz wszędzie.

Bieda ma podobny wymiar na każdym kontynencie. Dlaczego więc tam jest tak dotkliwa? Może to kwestia słońca. Nie potrafią się nim cieszyć. Widzą jego niszczące działanie i zupełnie pomijają dobroczynne. Są wierni księżycowi, w nim upatrują ulgę.

Ahmed to 24-letni, bystry handlowiec. Bazar dał mu chleb i zastąpił szkołę. Mówił, że ma dobre życie. Wielu jego przyjaciół z dzieciństwa nie miało aż tyle szczęścia. Marnieją na bezpłodnych polach i szarpią się z dniem o kilka egipskich funtów, by ich dzieci za każdym razem nie kładły się spać głodne.

Kiedy mijały nas turystki, Ahmed wybałuszał oczy i cmokał: *Ale lala.* Zapytałam, dlaczego tak się zachowuje. *Kobieta biała* - ładna i miła – powiedział. *Wasze kobiety również są piękne* – odparłam. Pokiwał głową z dezaprobatą. *Ale nie miłe.*

Poprosiłam o wyjaśnienie. Ociągał się, dopiero gdy powiedziałam, że kupię dwa kaszmirowe szale, zgodził się. *One złe, one kochać tylko dolar, mąż nie. A ty masz żonę?* – zapytałam. Zaprzeczył. *A dziewczynę?* Jego głowa smutno opadła na brązowej szyi. Wiedziałam, że kolejne pytanie zerwie nić szczerości. Po chwili odezwał się głosem, który brzmiał, jak gdyby wydobywał się spod głęboko zakopanych w ziemi ruin. – *Nie!*

Przeszedł mnie dreszcz. Czyżby padło o jedno słowo za dużo? „Nie!" dotkliwie drążyło mój środek, przeszywało ostrzem. Poczułam się nieswojo. Wybrałam dwa kolorowe szale produkcji chińskiej i powiedziałam: *Wezmę te.* Ahmed uśmiechnął się i znów zaczął szczebiotać: *Dobry wybór. Może trzy, dam dobra cena.* Podziękowałam.

Poszedł zapakować towar, a ja rozejrzałam się po bazarze. Mężczyźni w różnym wieku prężyli się, by zaciągnąć przechodzących turystów na zaplecza sklepów – pomiędzy ręczniki z napisem „Egipt", kamienne głowy Ramzesów, alabastrowe Nefertiti, papirusy świecące w ciemności, fajki wodne i tytoń owocowy, posągi gipsowych Sfinksów przeróżnej wielkości, od mini do znacznych gabarytów, maski i płetwy do nurkowania, piramidy malowane na szkle, galabije w rozmiarze od S do XXL, magnesy wielbłądy na lodówkę, kosze pełne kolorów i aromatycznych przypraw.

> **BY *MIEĆ ŻONA, MUSI MIEĆ DUŻO PIENIĘDZY* – WYRWAŁ MNIE Z OBSERWACJI GŁOS AHMEDA. NIKT NIE DA ŻONA DARMO.**

By mieć żona, musi mieć dużo pieniędzy – wyrwał mnie z obserwacji głos Ahmeda. *Nikt nie da żona darmo. Ja będę tu jeszcze długo, nim będzie dom i żona* – westchnął. – *Ja chciałbym taka jak ty.* Zarumieniłam się. *Żeby uśmiechała się, rozmawiała, przyniosła herbata. One tylko kochać dzieci i pieniądze, mąż to już nie.*

Mimo konsternacji, obdarzyłam go najcieplejszym uśmiech, na jaki było mnie stać. Podając reklamówkę, Ahmed lekko musnął moją rękę. Zrobiło mi się żal tego chłopca, tęskniącego za czułością, a jednocześnie noszącego w sobie nóż, którym odcinał szansę na znalezienie miłości.

Jak pogodzić te dwa światy? Kobiety pozbawione prawa do własnego zdania, dziewczynki będące przedmiotem wymiany za kilka kóz, okaleczane w imię bezdusznej tradycji i fanaberii mężczyzn. I chłopców zaharowujących się, by uzbierać na żonę, która będzie kojarzyć się im z wieloletnim wyrzeczeniem.

AGNIESZKA WIKTOROWSKA - CHMIELEWSKA

Poetka i dramatopisarka, absolwentka Studium Literacko-Artystycznego na Wydziale Polonistyki UJ w Krakowie. Pisze słuchowiska, piosenki i sztuki dla dzieci. Słuchowiska jej autorstwa (8 odcinków) *Historia dla dzieci* dostępne są na stronie www.historiadladzieci.pl. Aktualnie powstaje kolejna seria 6 odcinków.

WERONIKA „WERA" GRZYWA

Absolwentka Uniwersytetu Śląskiego (filia w Cieszynie), na kierunkach Edukacja Artystyczna i Grafika. Zajmuje się komiksem i ilustracją. Poza tym jest potrzepaną melancholiczką, starającą się nie zwariować!

ANATOMIA SAMOTNOŚCI

Z BOŻEJ ŁASKI TOMASZ | KATARZYNA URBANIAK

Zapytaj o miłość, a usłyszysz historie o rozstaniu i porzuceniu.

Zapytaj o przywiązanie – powiedzą ci o samotności.

Samotność to choroba. Nie bez powodu w tak wielu językach rozróżniamy pojęcia bycia samemu oraz samotności. Różnica jest tutaj niesubtelna, bo kiedy jedno to w jakimś sensie neutralne przebywanie w pojedynkę, o tyle samotność to pokłady chujowizny wymieszane z wyobcowaniem, negatywnym myśleniem i przekonaniem, że prezentujemy najwyższy poziom beznadziei osobowościowej. W skrócie – dobijamy do zera. Samotność ma rożne barwy i kształty, ale w gruncie rzeczy opiera się na stanie braku. I jeszcze wąsaci wujkowie w poliestrowych koszulach dręczą was przy rodzinnych obiadach, wciąż wypytując o spełnienie emocjonalne.

Niesamotność ma za to wiele zalet. Ludzie posiadający zdrową, głęboką relację żyją dłużej, są statystycznie zdrowsi, rzadziej zapadają na choroby, częściej doświadczają szczęścia. Wbrew obiegowemu przekonaniu uprawiają częściej seks niż single. Związki, jak pokazują badania, sprzyjają pielęgnowaniu zdrowych nawyków, a dzięki poczuciu więzi i bezpieczeństwa promują rozsądne decyzje i zachowania.

PIERWSZY
WHERE IS MY MIND?

Bo wiecie, jak to jest, nie? Spotykacie dresa, opuszcza przed wami gacie i już świat jest wspaniały. Scenariusze są jednak bardziej prozaiczne. Było to roku ileś i dwa tysiące. Nic nie zapowiadało zmiany stanu rzeczy. Wtedy sobie przypomniałem, że oprócz marzeń warto mieć papierosy. W zasadzie sam nie wiem, o czym dokładnie myślałem. Był to moment linienia, mentalnej wylinki w mojej głowie – wzrostu nagłego i skokowego, jakby wszystko stawało się możliwe, a życie jednak było piękne. Przyszedł znikąd, wiedziony mechaniką kwantową nowoczesnych światłowodów. Był komponentem czysto wirtualnym. Wirtualność jest jak samotność, zarzuca się sieci w pusty ocean. A to doskonale obrazuje podstawowe lęki obecnych czasów, niby przyjemne, singlowskie wygodnictwo bardzo szybko przechodzi w niedookreślenie.

KU
2015

Bo jak można nie być w układzie, gdzie 1 + 1 = 3. Podobnie jak można nie być na Facebooku bez miliona znajomych.

I byliśmy. Nadpoprawnie, ponadprzeciętnie, trochę w innym świecie. Kiedyś wymyśliłem sobie albo nawet mi to powiedziano, bo teraz ciężko już dojść do źródeł, że coś jest nie tak z ludźmi takimi jak ja. Coś obraźliwego. Coś, czego powinno się unikać, a może i lepiej współczuć. I – co najważniejsze – coś, czego nie da się w żaden sposób objąć uczuciem. Dlatego traktowałem to jako prezent, coś jedynego, coś dla mnie. Komponenty wirtualne w obecnych czasach już nie są tak odległe. Materializują się. Poznajemy je organoleptycznie, może nawet zbyt organoleptycznie. Poznajemy je w ogóle. Ta wiedza nas fascynuje. Nowe, nieodkryte lądy. Każda osoba to nowa wyprawa, nie tylko w nieznane, ale przede wszystkim w głąb.

DRUGI
VULNERABILITY

W niesamotności czasem ciężko jest domagać się rzeczy podstawowych. Jeszcze ciężej je werbalizować, bo każda jedna próba to rysa na ideale. Ideał upada szybko. Upada w rzeczach codziennych, w interakcjach z pozoru błahych, w czynnościach niepozornych, w myśleniu niby niewinnym. Samotność – co dziwne – zaczyna się od stanu, którego nazwy jeszcze nigdzie nie znalazłem. To pęknięcie pierwszego miniaturowego wiązania, które rozpoczyna osobliwą reakcję łańcuchową. I cóż wtedy robić, najlepiej uciekać. Branie, dawanie, odmawianie i proszenie. Dziwne popisy przed losową widownią, odreagowywanie życiowych zaszłości. Czasem potoki narzekania o bardzo szerokiej naturze.

Reakcja ta przybiera setki kształtów i form. Wtedy dochodzimy do wniosku, że może jednak jestem samotnym okrętem, a wszystko na pokładzie to balast. Że nie mam w zwyczaju się z niczego tłumaczyć, że nie jestem jednak empatyczny, że nie jestem od spełniania cudzych oczekiwań, że zaufanie jest dobre, ale kontrola jest lepsza. Reakcja jest powolna, wieloraka, bardzo często prowadzi do sytuacji, gdzie myślimy jedno, a robimy drugie. Gdzie finalnie spychamy drugą stronę, osaczamy ją na tyle, że nie pozostaje jej jakikolwiek wybór. Gdzie paradoksalnie obecność rodzi samotność. Proces ten rozpoczyna się z pierwszym potknięciem, niedoskonałością, odstąpieniem od wybranego scenariusza. Albo, co gorsze, od realnej lub wyimaginowanej konkurencji.

Warto dokładnie, ostro i w pełnej świadomości zapamiętać ten moment. Kiedy z pozycji zaufanego partnera, powiernika, kochanka, towarzysza, kogoś jedynego, niezastąpionego i nieodzownego (lub inne wydumane role, które sobie w głowie powtarzacie) stajemy się w zasadzie nikim szczególnym. Bo jednak nie jesteśmy tym, co przyszło nam o sobie myśleć. To upadek z niewyobrażalnej wysokości. Bańka pęka. Moja racja jednak nie jest najmojsza.

TRZECI
CLARITY OF VALUES:
SOME PEOPLE CALL ME A SLUT, BUT I AM ALSO AN ALCOHOLIC

No i jest. Znowu czarna dupa, znowu się nie udało. Chuj, dupa, ale bez kupy kamieni. Myślenie katastroficzno-wspomieniowe, analityczne, spazmy łóżkowe o różnej porze. Zachowania ryzykowne, napędzane substancjami wątpliwego podochodzenia, nowo wyprasowana maska

na twarzy, wyciągnięta z szafki jak poranna świeżość rysów rodem z Jetsonów. Moment trudny, ale jest w nim coś orzeźwiającego, ciężar spada nam z barków. Pozytywna celebra tej samej samotności, która zaraz stanie się kulą u nogi i potwierdzeniem, że jednak jest z nami jakiś problem, antyspołeczność, niezwiązkowość. Materiał niepodatny i niepożądany.

Oczywiście są też wnioski. Co zrobiłem nie tak, co mogłem zmienić, a może się nie starałem, a może mam wszystko w dupie i kupię sobie hot doga za złotówkę w Ikei, bo tak naprawdę ludzie są ohydni i jest to inwestycja tak niepewna, że to aż dziwne, jak to się tylu parom na świecie udaje. Potem sobie jeszcze można wygooglować, co robić, jak nas zostawiła dziewczyna, chłopak, trans czy nasz przyjaciel z benefitami – forum Wizażu czy inna forma krynicy mądrości przychodzą z tak potrzebnym wytchnieniem. Najlepiej sięgnąć do łatwiej dostępnych przykładów, czyli jak to się naszym znajomym również nie powiodło. Jak już się dręczyć, to lepiej zbiorowo.

Dla zapomnienia dobrze też wystawić siusiaka na ostre obciąganie (dwa razy dziennie, bez namaczania), wstawić sobie ogoloną cipkę na Tindera, że tak sobie świetnie radzę i w ogóle jestem zajebista w każdym wydaniu. W krytycznym momencie warto włączyć w nocy odkurzacz, posprzątać wszystkie szafki, kotu sprawić nowy żwirek zapachowy. A sąsiedzi napływają z każdej strony z poleceniem zamknięcia japy. Po takim zawirowaniu czas się zatrzymuje, kolory blakną, charakter przechodzi autokalibrację. Wskazówka emocjonalnego kompasu jakby znowu powoli zaczyna się poruszać. Pojawia się drobne światło, a w dodatku wszystkie sezony dostępnych seriali są dokładnie obejrzane. Co z tą samotnością? Nie wiem, stan przejściowy. A może tak naprawdę stały, tylko zmienia się konfiguracja fizyczna.

Najciekawszy jest zawsze finalny produkt. Intensywna, przeszywająca tęsknota za prawdziwym i głębokim kontaktem ludzkim. Tutaj system przechodzi reset, przygotowując się na podjęcie tego samego wyzwania, ale następnym razem oczywiście będzie lepiej i dojrzalej – bez narzekania, cichych dni, krytyki, wyrzutów sumienia, szczególnych niedopowiedzeń, nierealności, przyznawania sobie prawa do drugiego człowieka. Jego fizyczności, myśli, przyszłości, świata. Nikt nie powinien być samotny. Każdy powinien mieć kogoś, kto nas podniesie w trudnym momencie, najlepiej w tym, w którym wychodzą wszystkie nasze niedoskonałości. Trzeba mieć kogoś, na kogo można bez rozterek swobodnie opadać.

Samotność czy nieosobność?

Z BOŻEJ ŁASKI TOMASZ
Wielbiciel języka i komunikacji, szczęściem pederasta. Stara się spoglądać na życie pod różnymi kątami, lubi labirynty i gładki plastik. Myśli obrazami, najwięcej komunikuje podprogowo.

KATARZYNA URBANIAK
Absolwentka Wydziału Artystycznego UMCS w Lublinie; maluje, ilustruje, zajmuje się projektowaniem graficznym i ciągle poszukuje.

WALL OF FAME.

G.

ALEKSANDRA GRZEBALSKA |
WWW. THEPUBLICLIFEOFQUEENALEKSANDRA.WORDPRESS.COM

WERONIKA „WERA" GRZYWA |
WWW.BEHANCE.NET/WERAWERA
GRZYWA.WERONIKA@02.PL

H.

MARIUSZ HOŁOD |
MARIUSZ.HOLOD@GMAIL.COM
WWW.MARIUSZ-DARIUSZ.DEVIANTART.COM

K.

KAJETAN VON KAZANOWSKY |
VON.KAZANOWSKY@GMAIL.COM
WWW.FACEBOOK.COM/VONKARYSUJE

KAMILA „PIGEON" KRÓL |
PIGEONMAKESART@GMAIL.COM
WWW.PIGEONMAKESART.COM
WWW.FACEBOOK.COM/PIGEONART

ANNA KRZTOŃ |
WWW.ANNA.KRZTON.COM
WWW.FACEBOOK.COM/KRZTONIA

ALEKSANDRA KWIATKOWSKA |
MISZMASZSZTUKA.BLOGSPOT.COM

M.

MAGDALENA MARCINKOWSKA |
MAGDALENOWO@GMAIL.COM
WWW.MARCINKOWSKA.BLOGSPOT.COM

JUDYTA MIERCZAK |
JUDYTAMT@GMAIL.COM
WWW.FACEBOOK.COM/BLACKLINEARTWORK

MAGDALENA MYRLAK |
MAGDALENA.MYRLAK@GMAIL.COM

WALL OF FAME.

N.
KATARZYNA NOWACKA |
KATARZYNABNOWACKA@GMAIL.COM

S.
MONIKA SOJKA |
MONIKASOJKA.TUMBLR.COM

KAROLINA SULICH |
WWW.KAROLINASULICH.COM

T.
AGATA TRYBUS |
AGATA.TRYBUS@GMAIL.COM

U.
KATARZYNA URBANIAK |
KATARZYNAURBANIAK86@GMAIL.COM
KATARZYNAURBANIAK.BLOGSPOT.COM

W.
AGNIESZKA WIKTOROWSKA-CHMIELEWSKA |
AGNIESZKAWCH@POCZTA.ONET.PL
WWW.FACEBOOK.COM/POEMIKITUITU
WWW.FOTOSANDTRAVELS.BLOGSPOT.COM

Ż.
BEATA ŻURAWSKA |
BEATA.F.NOWAK@GMAIL.COM
WWW.BEATAZURAWSKA.COM

WE WANT YOU!

PISZ NA: REDAKCJA@FUSS.COM.PL

FUSS WSPÓŁTWORZONY JEST PRZEZ PASJONATÓW – OSOBY OTWARTE, CHĘTNE DO DZIELENIA SIĘ SWOIMI PRZEMYŚLENIAMI, ZAJAWKAMI, PODRÓŻAMI, KULTUROWYMI I SPOŁECZNYMI FASCYNACJAMI. ZACHĘCAMY DO WYSYŁANIA SWOICH PROPOZYCJI TEKSTÓW.

ZACHĘCAMY TAKŻE DO WSPÓŁPRACY GRAFIKÓW, ILUSTRATORÓW, FOTOGRAFÓW I WSZYSTKICH, KTÓRYM NIE OBCA JEST WOLNOŚĆ TWÓRCZA I CHĘĆ ARTYSTYCZNEGO WYRAZU. PROSIMY O PRZESYŁANIE PORTFOLIO. SKONTAKTUJEMY SIĘ Z WYBRANYMI TWÓRCAMI.